WIEM WSZYSTKO

50 GR

TYGODNIK AKTUALNOŚCI POD REDAKCJĄ WŁODZIMIERZA POPŁAWSKIEGO

Nr 1. Warszawa, Niedziela 26 stycznia 1936 r. Rok I.

TARGOWICA SAMOCHODOWA

„Monopolowe auta" --- Grupy motoryzacyjnej

Ostatnie dni przyniosły mnóstwo najróżniejszych pogłosek dotyczących bezustannie aktualnej sprawy motoryzacji kraju. W ubiegłym tygodniu w szeregu „usłużnych" pism codziennych pojawiły się równie tasiemcowe, **jak płatne artykuły o nowym projekcie fabrykowania samochodów w Polsce.**

Szary, wynędzniały, co dnia nowemi niespodziankami miażdżony czytelnik z murzyńską czcią wgłębiał się w te szumne, frazesami szpikowane, a złotemi Lewiatana płacone elaboraty, z których, jak na dłoni wynikało, że Polska, jeśli idzie o motoryzację, stoi u... wrót raju!

Mówiąc przystępniej, nadworni „piszczykowie" Lewiatana, pp. Wierzbickich i Karszo - Siedleckich roztoczyli przed szarem człowiekiem projekt rzekomego wytwarzania samochodów **całkowicie w kraju, na zasadzie licencji Fiata.**

O tym ostatnim szczególe coprawda w enuncjacjach prasowych przezornie nie wspomniano, ale — to fakt.

✶

Ponieważ brak samochodów w Polsce jest katastrofalny dla całości życia naszego kraju, ponieważ to zagadnienie, pozornie interesujące jedynie... burżujów, w istocie, jak to już wielokrotnie publikowano, sięga głęboko w organizm państwa, do obowiązków każdego myślącego obywatela należy posiadać będzie trochę wiadomości z tej materji, no a co za tem idzie — nie przyjmować bezkrytycznie bzdur, któremi chce się uśpić czujność opinji publicznej.

A więc: pierwszy dogmat — produkcja samochodów wymaga, prócz kapitału, olbrzymiego, długoletniego doświadczenia. Drugi dogmat — **dobrej licencji.**

Są to dwa naczelne dogmaty, których żadne hocki - klocki kombinatorów nie zwalą.

Co mamy?

✶

NIC. Ani bowiem odświadczenia produkcyjnego, ani dobrego wzoru. Dalecy od gołosłowności, stwierdzamy, że modele Fiata są dawno już przestarzałe (**sztywne osie, źle umieszczony i zawieszony motor, wadliwe resorowanie, niewygoda i wreszcie nieproporcjonalnie wysoka cena**) i na rynkach światowych prawie zupełnie nie wchodzą w grę, jeśli idzie o rozmowę o samochodzie nowoczesnym.

Fakty te znane są doskonale każdemu fachowcowi.

Zdawałoby się więc, że jedyna droga ratunku Polski przed olbrzymiemi stratami, jakie przynosi demotoryzacja, jest — dopuszczenie kilku fabryk zagranicznych, wozów rzeczywiście wedle ostatnich zdobyczy techniki budowanych, ażeby tu, w Polsce otworzyły swe montownie (3 do 5 fabryk) a samo życie i doświadczenie w nader trudnych, polskich warunkach drogowych wybierze typ wozu. Tembardziej, że jedyna słuszna zasada w życiu gospodarczem jest — eliminacja różnych wartości bezpośrednio przez życie, a nie drogą uprzywilejowanych monopolów.

✶

Ale... fabrykacja samochodów jest wielkim interesem, lub przynajmniej za taki uchodzi. Wielu ludziom, zwłaszcza w Polsce, roi się zawrotna karjera Forda. Rezultat — kilku małych fordzików, a wielkich spryciarzy typu „narodowego", zebrało się na naradę. Jakby to było dobrze, żeby tak nam oddano monopol... Będziemy sobie pracowali w zacnej rodzince, nikt nam nie wejdzie w paradę, wszystko ułożymy sobie tak, jak nam będzie najwygodniej, a pod Operę i tak nie będziemy jeździli temi „polskiemi samochodami", a poprostu Packardami.

I oto powstaje zawrotny, wręcz absurdalny projekt kontynuowania fatalnego błędu, który pogrzebał samochody w Polsce, mianowicie umowy z Fiatem!

✶

Kilku ludzi stojących na czele kilku jeszcze jako tako wegetujących lub wręcz deficytowych instytucyj, pragnąc ratować nadszarpniętą opinję, a może i coś więcej... podało sobie ręce ponad naszemi głowami i postanowiło uczynić cud — fabrykować dwa razy więcej Fiatów, wzamian za monopol.

Oczywiście nie zapomniano w tym zawstydzającym, prawie targowickim memorjale potrącić czułą, a tak dobrze przez Lewiatana od lat wygrywaną nutę społeczną: zmniejszenie bezrobocia, praca i chleb...

Znamy to, panowie!

✶

Ale jakie byłyby rezultaty tego nowego monopolu?

W dalszym ciągu nie będziemy mieli samochodów. W dalszym ciągu żyć będziemy ordynarną fikcją, blagą i naiwnym, ślepym optymizmem, który każe nam się zachwycać każdą nową „balillą" do której nie wsiadłby, przynajmniej za te pieniądze żaden szanujący się automobilista. No, a żeby nieco złagodzić ostrze sankcyj anty włoskich, my, pokorne polskie murzyny płacić będziemy „italskim czarownikom" i ich polskim clarcom wielkie **sumy za licencję wozu conajmniej 5 lat przestarzałego.**

✶

Któż był promotorem tego „genjalnego" projektu. Płatne elaboraty oczywiście nazwisk nie podają, wymieniając jedynie kilka wielkich przedsiębiorstw metalurgicznych. Plotka mówi o **p. senatorze Karszo-Siedleckim,** o długich naradach tego zasłużonego męża z drugim, równie zasłużonym posłem proletarjatu praskiego i genjalnym mózgiem Lewiatana **p. Andrzejem Wierzbickim.** Prócz tych dwu, plotka przebąkuje o pp. b. dyr. S. A. Cegielski w Poznaiu **Kręglewskim,** obecnym dyrektorem P. Z. Inż., o **Andrzeju Rotwandzie** (Lilpop) i jeszcze kilku innych panach, bardzo zasłużonych dla sprawy... demotoryzacji Polski.

Szefowie propagandy tej zacnej grupy tworząc w pocie czoła wspomniany artykuł reklamowy nie zawahali się przed użyciem takiego określenia: „.... dając krajowi dobry, tani samochód..."

Czy aby napewno dobry i tani Niechaj odpowiedzą nam na to posiadacze „polskich" Fiatów. Ale nie ci, którzy wozy te dostali na 100 zł. raty, nie ci, którzy „kursują" między Europą a Wilanowem, ale ci, którzy kupili samochód jako nowoczesny, tani a trwały środek lokomocji.

Czekamy na szczere relacje od nich, dziś sygnalizując wielkie niebezpieczeństwo jakie zawisło nad głowami Państwa i obywateli.

Dlaczego znów mamy brnąć w stare błędy? Czy pięć lat bezpłodnej umowy z Fiatem nie nauczyło nas niczego? Czy zniszczenie polskiego stanu posiadania, kurcząca się z dnia na dzień liczba aut, brak maszyn nowych, potworne ich ceny, nie mówią nam nic?

Wszakże rozsądny od głupca różni się przedewszystkiem tem, że... nie powtarza się w głupstwach. Państwo powinno być rozsądne.

ALFA.

P. Naczelniku Wydziału Bezpieczeństwa!

Parę dni temu, rano, na ul. Widok tuż przy dworcu, a więc w samym sercu miasta, w czasie pijackiej bójki zabito człowieka, który bezskutecznie wzywał pomocy policji.

Od godziny 12-ej w nocy Marszałkowska od ogrodu Saskiego do pl. Zbawiciela i jej bocznice, zamieniają się w Dzikie Pola, awantury i bójki są tam na porządku dziennym, a raczej nocnym.

Rzadkie posterunki i patrole policyjne absolutnie nie gwarantują bezpieczeństwa zapóźnionym przechodniom, a chodzenie z odbezpieczonym rewolwerem po centralnej arterji stołecznej Warszawy, to chyba jednak przesada...

Gdyby p. Naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa stolicy zechciał zainteresować się tą sprawą, znając Jego dotychczasową działalność, wierzymy, że mieszkańcy stolicy odetchnęliby z ulgą.

--- Boicie się czarnego luda?
--- Nie!...

CZY CHCEMY WOJNY?

Próba ankiety z „szarym człowiekiem"

Europa żyje na wulkanie. Szpalty gazet wypełnione są po brzegi alarmującemi wieściami o wojnie w Abisynji, o zbrojeniach brytyjskich, o wrzeniach w Egipcie... Coraz częściej i coraz głośniej przebąkuje się o zbrojnych interwencjach mocarstw...

Cuchnie prochem.

Pytanie: „czy i kiedy wybuchnie wojna w Europie? jest bodajże najaktualniejszem pytaniem chwili obecnej, aczkolwiek — zdać by się mogło, że nie zatarła się jeszcze wizja Wielkiej Wojny...

Nic to! Tysiące wersyj, obliczeń, najróżniejszych przypuszczeń zaprząta umysły mężów stanu, generałów i dyplomatów.

Co jednak myśli o wizji przyszłej wojny tak popularny dzisiaj szary człowiek? Ten człowiek z tłumu, którego na wypadek wojny czeka — mundur i karabin. Czy, nauczony smutnem doświadczeniem wojny europejskiej, pragnie pójść w pole, czy też...

Z pytaniem „czy chcesz wojny", nasz współpracownik wszedł między ludzi może mniej znaczących w ogólnej hierarchji społecznej, ale... bardziej bezpośrednio zainteresowanych sprawą ewentualnej wojny.

Cykl intresujących rozmów naszego spółpracownika, aczkolwiek obejmuje nikły odcinek społeczeństwa, to przecież daje obraz nastojów nader charakterystyczny i nasuwających smutne refleksje.

W którąkolwiek obracamy się stronę, z kimkolwiek rozmawiamy, wszędzie jednakowo uporczywie, niezmiennie powtarza się pytanie: „Kiedy będzie wojna?"

Aktualność tych słów, wyczuwalny niepokój w zapytaniach jednych, niecierpliwość drugich, wszystko to każe wierzyć, że niema dzisiaj człowieka, któryby obojętnie spoglądał na wizję przyszłej wojny, tak jak niema człowieka. któryby przypuszczał, że wizja ta... wizja powstanie.

Różne są tylko daty, ale że wojna musi wybuchnąć, że nie ograniczy się do dalekiej Abisynji, że czai się może w... Kairze, a może w Charbinie czy na włosko - francuskiem pograniczu lub w czeskich Sudetach, to sprawa dla fachowców jasna...

LUDZIE Z KARTĄ „MOB"

Ale co myślą ci wszyscy ludzie, którzy niemając bezpośredniego wpływu na gwatwaninę politycznych zwojów nerwowych, są niewolnikami... karty MOB?

Jak na ewentualność przyszłej wojny reaguje SZARY CZŁOWIEK?

Codzień rano powtarza się tasama historja.

Najwięksi optymiści z lekkiem drżeniem rąk biorą poranne gazety. A nuż na pierwszej stronie znajdą depesze, że gdzieś tam padł strzał, że w jakimś zakątku świata, niestety, nawskroś przesiąkniętego wrogiemi nastrojami, bronią i nędzą, powtórzy się... Serajewo, że ulice miast zadudnią pod kołami dział, twardym łoskotem kopyt końskich i rytmem kroków piechoty.

W o j n a !

Czy przyjdzie, szary człowieku, jutro i czy jest potrzebna?

W DWORCOWEJ HALI

W dworcowej hali kłębi się ciężki, niewal dotykalny hałas. Siedzę obok młodego mężczyzny i... jakgdyby zahipnotyzowany patrzę w jego beznadziejnie rozcłapane wspomnienie kamaszy. Takie to dziwne, kiedy Bata „już za 3 zł." ofiarowuje parę butów...

Zwykle łącznikiem między obcymi ludźmi jest papieros. Tym razem niemam papierosów, więc... częstuję go pomarańczą, których pełną torbę trzymam na kolanach.

— Czeka pan na pociąg? — pytam.

— Thie... czekam. Ale jeszcze na bilet niemam.

„RAJZER"

— A daleko pan jedzie?

— Nie... — czuję, niezbyt mu się podoba ta indagacja, — albo to za peronówką można daleko jechać.

Teraz już rozumiem — „rajzer" — albo jeśli kto woli — **polski tramp.**

— Pewno pan szuka roboty? — w dalszym ciągu próbuję łatać rwącą się rozmowę.

— Djabłatam. Myśli pan, że teraz co się znajdzie. Ja już drugi rok, jak z wojska zwolniony, nogi sobie uchodziłem, a tu roboty ani, ani. Byłem gońcem w jednej firmie (wymienia mi nazwę dużej spółki akcyjnej). Jak mnie brali do wojska, to personalny powiedział, że każdy musi wypełnić swój obowiązek względem ojczyzny, że służba wojskowa, to szkoła rycerska i tam jeszcze inne różności, no i że po powrocie, to mnie spowrotem przyjmą. Więc się bardzo nie martwiłem, bo w wojsku to faktycznie też źle nie było. Myślałem sobie: wrócę, zacznę pracować, może nawet podwyżkę dadzą...

— No i?...

NIEMA PRACY

— Jakiem przyszedł to mi powiedzieli, że roboty niema, bo kryzys. Chodziłem, prosiłem. Wszystko na nic. Zacząłem gdzieindziej szukać, bo przecież i zdrów byłem i do roboty owszem — chętny, ale wszędzie taksamo. Niema i niema, kryzys i kryzys. To zacząłem żebrać, ale marny fach, bo dużo takich cwaniaków i gospody mają już powyrabiane, a w Warszawie ludzie mają serca niedobre. To teraz jeżdżę na rajzy.

W duchu winszuję sobie swej domyślności. A głośno mówię:

— Wojsko pana niczego nienauczyło?

Głos jego nabiera odrazu innej barwy, oczy blasku. Mówi jak emerytowany żokiej o... torze wyścigowym.

— B!... żeby tak wojna przyszła, toby odrazu człowiek odetchnął.

Wiać, że to mówi szczerze.

LEPSZA ŚMIERĆ!

—No, ale na wojnie łatwo o śmierć.

— Panie szanowny! Śmierć nie dla każdego, a przynajmniej człowiek ma całe buty, ubranie, dadzą mu jeść, dbają o niego, ostrzygą, ogolą. Zresztą, co tam śmierć. Jak nieraz przed konduktorem uciekałem, to pan myśli, że śmierci nie mogło być? Taki co flotę ma to niech się śmierci boi...

Mówi to wszystko jednem tchem. Mówi z przekonaniem i chociaż pełno w słowach jego naiwności, chociaż wojnę maluje sobie zgoła innemi barwami, to przecież niesposób mu chwilami nie przyznać racji.

W tej chwili perspektywa wojny, chociażby najokrutniejszej, najkrwawszej jest dlań stokroć ponętniejsza od zakonspirowanego tragizmu „rajzerki".

MUSI BYĆ WOJNA
MOŻE Z WIOSNĄ



— A myśli pan, że będzie wojna?

Patrzy na mnie przez długą chwilę, jakgdyby chciał odgadnąć dlaczego właściwie go pytam, a potem... bierze jeszcze jedną pomarańcz, gryzie łapczywie i mówi:

— Wiadomo, że będzie. Teraz zimą, to może i nie, ale z wiosną... Z wiosną to może się zacznie...

ALBO TO MAŁO DRANI

— A z kimże mielibyśmy bić się?

— Ojej, albo to mało drani. Ja nie będę wymyślał z kim...

— Może z Abisynją?

— Niech będzie, — zgadza się już prawie obojętnie, bo niewidzialny głośnik ryczy: „Pociąg osobowy do Kutna, Poznania...", sąsiad mój słucha tych słów z widocznym niepokojem. Daję mu dwa złote i torbę z resztkami kilograma pomarańcz. Kłania się „służbowo". z dłońmi wyciągniętemi wzdłuż porządnej jeszcze kurtki. Zdaję mi się że patrzę na umundurowanego, pasami i tornistrami obładowanego żołnierza, który za chwilę odejdzie na front. Ma nawet po żołniersku uśmiechniętą, dawno niegoloną twarz i.... ściskając mi rękę obiecuje:

— A te dwa złote, to jak się w wojsku spotkamy, to oddam pod chajrem!

Powyżej wydrukowaliśmy może nieco cyniczne, może bardzo ponure, ale przecież prawdziwe i nie pozbawione dozy słuszności wynurzenia młodego chłopaka, bezrobotnego, który niemogąc znaleźć pracy, marzy o... wojnie.

PROSTACZEK I INTELIGENT

To mówił człowiek prosty, nieuczony, ex-goniec biurowy, ex-żołnierz, a obecnie zmaltretowany nędzą dnia dzisiejszego „rajzer".

Co mówi inteligent?

Rozmowę nawiązuję tem chętniej, że... siedzę w fotelu dentystycznym i każde słowo, to oddalenie o parę sekund ponurej wizji... zabiegów lekarskich.

JESTEM NIEPOTRZEBNY

Lekarz jest młody, praktykuje zaledwie od roku. Na mocno sklepionej twarzy. życie wyryło niby stygmat zaciętości i uporu.

— Na ochotnika poszedłem z gimnazjum, — mówi wolno, jakgdyby z odcieniem bezradnie maskowanego smutku. — Potem wróciłem do szkoły. Może pan sobie wyobrazić, że uczyć to się już wtedy bardzo niechciało. Ale jakoś tam skończyłem. Wstąpiłem wpierw na prawo. Nieszło mi, więc przerzuciłem się na medycynę. Studjowałem długo, bo mi ciężko było. Jak miełem 70 — 80 zł. na miesiąc na utrzymanie i wszystkie wydatki, to... miałem dużo. Ale widzi pan, wtedy wierzyłem jeszcze, że moja praca, moja nauka na coś się przyda społeczeństwu, że zawsze na początku jest ciężko. Potem dopiero zobaczyłem, że jestem nikomu niepotrzebny, że takich jak ja są setki i tysiące. Od roku jestem lekarzem. Czy pan wie ile w najlepszym miesiącu zarobiłem? Około 180 zł.... To zresztą głupstwa, gdybym znów miał przeświadczenie, że w przyszłości polepszy się, ale to przecież absurd, chyba że... wybuchnie wojna!

CHOCIAŻBY PRZYZWOITY POGRZEB...

—Jakże, więc pan, inteligent, sądzi, że wojna może przynieść jakiekolwiek korzyści? — pytam prawie szczerze zdumiony.

Zza okien, z ulicznego gwaru Marszałkowskiej wypełzły tony żałobnego marsza wojskowego. Podeszliśmy obydwaj do okna. W dole szła kompanja żołnierzy, za nią... kondukt żałobny.

Młody lekarz wyciągnął rękę.

— W najgorszym wypadku przynajmniej przyzwoity pogrzeb. W lepszym — odznaczenia, szarżę, nimb bohaterskości i samarytanizmu...

POWOJENNE DYSKONTO

— Ale przecież wojna nie będzie trwała wiecznie.

— Ma pan rację. Ale wtedy będzie można właśnie umiejętnie dyskontować wojenne zdobycze i urządzić sobie życie lepiej, niż jest obecnie. Może pan to co mówię nazwać cynizmem, ale to jest tylko pragnienie należytej formy życia. Jeśli państwo niemoże dać swemu obywatelowi możliwej egzystencji drogą normalnej ewolucji, spokojnej, twórczej pracy, niech mu dopomoże zbierać łupy w mundurze...

— Pocieszam się, że pan jest unikatem.

„NIE JESTEM SAMOTNY"

Uśmiechnął się raczej nieprzyjemnie.

— Powiem panu coś. Miałem na pierwszym roku różnych kolegów, biednych, średnio zamożnych i bogatych. Ci bogaci, chociaż byli zdrowi, żaden z nich, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nie odbył służby wojskowej. Ci średniacy może w 50% poszli do wojska. Biedni... byli wszyscy, aczkolwiek stan zdrowia nie zawsze był najidealniejszy. Ci biedni wyszli z wojska oczywiście taksamo biedni. może nawet biedniejsi, ale nauczyli się wojennego rzemiosła i wojna im wcale nie jest straszna, a natomiast otwiera duże możliwości. Straszna może być tylko dla tych bogatych, którzy nieznają się na niej, ale... proszę mi wierzyć, oni sobie też dadzą radę. Reasumując — olbrzymi, moim zdaniem, procent inteligencji zawodowej, która wyszła z nędzy, z proletarjatu, wierząc, że nauka da im pozycję w świecie i kawałek chleba z masłem, widzi, że zawiodła się mocno i, że tylko wojna może być tym wentylem, który odświeży zatęchłą atmosferę.

CZY I KIEDY?

— A czyżby zdaniem pańskiem zanosiło się na wojnę?

Tutaj poczułem, że trafiłem na strunę najczulszą, że poruszyłem zagadnienie aktualne i dobrze przemyślane. bo oto nagle zaczął mówić gorączkowo, jakby tylko na to pytanie czekał.

— To jasne, proszę pana. Anglicy zaczną łupić Włochy, potem przyłączy się do nich Francja. Niemcy skorzystają z okazji i sięgną po Czechosłowację i Kłajpedę, a może i po co innego...

„PAKTY TO BUJDA!"

— No, a pakty, traktaty?

— Wszystko to proszę pana bujda, stworzona dla politycznej żonglerki ministrów spraw zagranicznych. Zresztą, pan myśli, że w hitlerowskich Niemczech nędzy niema? Niema bezrobocia? Jakoś ludzi trzeba zatrudnić, więc wojna.

MOŻE JUTRO...

— Ale to chyba nieprędko?

— Przeciwnie. Sprawy te, w moim zrozumieniu już dawno dojrzały i wcalebym się nie zdziwił, gdybym obudziwszy się jutro rano, przeczytał w gazetach. że wojska niemieckie wkroczyły do kraju Kłajpedzkiego i zachodniej Czechosłowacji. To moim zdaniem jest kwestja dni, a dalej już pójdzie prędko...

— Ale jeśli nawet, to równie prędko może wszystko skończyć się.

— To pan jest w błędzie. Ludzie teraz będą bili się możliwie jaknajdłużej. Raz żeby wybić jaknajwięcej, a następnie dlatego, że zbyt szybki koniec wojny, to szybki powrót do .. nędzy i bezrobocia.

— Słowa pańskie są bardziej bolesne od wiercenia tej maszynki czy wyszarpywania nerwów.

Kiwnął głową: Miał teraz starą, dziwnie zmęczoną, antypatyczną twarz. Powiedział:

— Wiem o tem panie. Tak dobrze wiem, że chwilami chciałbym niebyć człowiekiem...

*

Po bezrobotnym „rajzerze" i młodym lekarzu, spotykam się w małej, zadymionej kawiarence z młodym, radością życia pulsującym porucznikiem.

Na skromnej kurtce mundurowej niema jeszcze zbyt wielu odznaczeń, ale zato złoci się symbol pilota — orzeł. Całość jest raczej radosną plamą tle beznadziejnej szarzyzny dnia, zapłakanego deszczem, zasnutego pajęczyną dymu.

TRAGIZM I BEZMYŚLNOŚĆ

— Pyta pan o wojnę, — zaczyna z miejsca, szybko, zdecydowanie, jakby zapuszczał motor swego samolotu, — myślę, że to bardzo niepotrzebna historja. Niech pana nie dziwi, że takie właśnie spostrzeżenie słyszy pan z ust moich. My wszyscy, oficerowie młodzi, którzyśmy wojnę poznali na niewielkim odcinku ochotniczego obowiązku. a w dużych wymiarach znamy ją tylko z teorji skrupulatnych studjów. my wszyscy dokładnie zdajemy sobie sprawę z tragizmu i bezmyślności jakie ona rodzi.

NIE NAPASTNICY A OBROŃCY

— Jednakże przecież panów kształcono właśnie na żołnierzy, — wtrącam, trchę zaskoczony tem credo.

— Oczywiście, ale kształcono nas nie na napastników, a na obrońców naszego kraju i jeśli trzeba będzie, kraju tego będę bronił jak najlepiej potrafię. Ale praca żołnierza w czasach dzisiejszych nie sprowadza się tylko do bezmyślnego wojowania. My się uczymy tak wiele, że dziś już wojskowy, porzuciwszy wojsko z łatwością może przerzucić się do innego zawodu.

— Wierzę, jednakże wie pan w jakich warunkach znajduje się dzisiaj inteligencja, jak trudno zdobyć sobie kawałek chleba.

— Czy myśli pan, że podczas wojny będzie łatwiej? A zresztą, może ja jestem optymistą, myślę jednak, że dobry fachowiec zawsze znajdzie pracę zupełnie nie licząc na tak zapalną i chorobliwą sytuację, jak — wojna...

— Pysznie, — przyznaję, — ale wszakże bez wojny cóż będziecie robić?

Śmieje się pogodnie i odcina natychmiast.

— Zaprawa wojskowa przydaje się i to nawet bardzo w życiu pokojowem. Sam pan wie ile zasług np. na polu cywilnego lotnictwa położyli oficerowie służby czynnej. Oficerem był Żwirko, Skarżyński, Kowalski, Lewoniewski, Bajan, Hynek, Burzyński, Pomaski. Trudno mi za nich mówić, ale pewien jestem, że każdy z nich, tak jak każdy uczciwy człowiek woli twórczą pracę pokojową od niszczycielskiej wojennej.

„NIECHCEMY ZABIERAĆ"

— Niech mi pan wybaczy, poruczniku to nieomal bezczelne pytanie: a może poprostu wygodniej wam jest w obecnej sytuacji. Zawsze to jednak pokój....

— Niech pan powie prościej: s t r a c h. Nie panie. Czy sądzi pan, że niema powodu do strachu gdy odbywamy nocne czy dzienne, ślepe czy zwykłe loty? Czy mało nas zginęło podczas pokoju?

— Pan mnie źle zorzumiał. Ten kto do walki nie jest dostatecznie przygotowany stara się termin spotkania oddalić jaknajbardziej.

— Żartuje pan sobie. Cały świat wie doskonale, że armja polska jest najdoskonalsza w Europie, ale myślę, że mimo to w tej armji niema zupełnie nastrojów zaborczych. Cudzego niechcemy, swego nie damy. Zresztą, jeśli mówimy już tak dużo o ewentualnej wojnie, to trzeba sobie wpierw uprzytomnić dlaczego miałaby wybuchnąć, coby ją wywołało i gdzie..

NIEBĘDZIE WOJNY!

— Pan tych ewentualności nie widzi. A Abisynja, a ewentualny konflikt angielsko - włoski?

— Przy najbardziej pesymistycznych obrachunkach niewidzę tych przykrych możliwości. Od zbrojeń i pobrzękiwań szabelką, do działań wojennych jest jeszcze niezmiernie daleko. Jedyna ewentualność, to nasze krótkie spięcie z którymkolwiek z bratnich i sąsiedzkich narodów. Myślę jednak, że i tego unikniemy. — zakończył tak poprostu, jak mówił przez cały. czas.

Dokończ. w nast. numerze

ARGUS.

CODZIENNIE NOWI BOGACZE

Każdy dzień przynosi nam teraz wieści o wielkich wygranych, jakie padają w ciągnieniu czwartej klasy 34-tej Loterji. Oto podobizny kilku spośród szczęśliwych graczy.



Oto mieszkaniec Poznania; p. Aleksander Müller, posiadacz ćwiartki losu nr. 150.704. na który padło 100,000 złotych.

Wygraną podzieli się z gronem kolegów, należących do spółki.



P. Seweryn Kubalski, kupiec z Gniezna zainkasował 10.000 zł w imieniu swojem i swoich towarzyszy będących współwłaścicielami ćwiartki nr. 95423, Numer ten wygrał 50,000 zł.



Jedna z dziennych wygranych, 30,000 zł. padła w Skierniewicach na nr. 2633. Połowę tego wyśnionego przez siebie numeru nabyła p. Wanda Oliszewska, zajmująca się dostarczaniem produktów wiejskich konsumentom stołecznym. Otrzymała 12.000 zł.

Ciągnienie miljona odbędzie się 21 bm. zaś w niespełna miesiąc później (20 lutego) rozpocznie się ciągnienie I-ej klasy 35-ej Loterji. n 6

WARSZAWA
miasto moich marzeń

Warszawa, w styczniu.

Ileż to razy ty, Czytelnku zgubiony w t. zw. prowincjonalnym partykularzu, marzyłeś i myślałeś o tem aby szczęśliwy uśmiech losu pozwolił Ci mieszkać zamiast na głuchej prowincji w stolecznej, pięknej i luksusowej Warszawie.

SNY O SZCZĘŚCIU

Ileż razy ogarniała Cię zazdrość nienawiść o tem, że kolega czy znajomy tego „zaszczytu" dostąpił i oto wyjechał na stałe do stolicy.

Ile razy, słuchając radja, transmisji z jakiegoś warszawskiego dancingu, układałeś sobie w myślach plan rozkosznie szampańskiej zabawy w tymże dancingu.

I tak oto, zupełnie podświadomie Warszawa urosła do szczytów miasta Twoich marzeń.

Czy aby słusznie jej się taki poziom należy?

Spójrzmy na nią bez dzielnicowych animozyj, bez uprzedzeń i złośliwości, ale temniemniej — krytycznie.

„MAŁY PARYŻ"

Jest dzisiaj ponad miljonowem miastem, jednem z największych w Europie, miastem reprezentacyjnem, chętnie chlubiącem się mianem „małego Paryża", a tymczasem?...

Tymczasem, poza paru nikłemi fragmentami, niema właściwie w sobie nic nietylko z Paryża, ale wogóle z zachodu Europy. Jest szara, ponura, tu i ówdzie egzotycznie pstrokata, w olbrzymiej większości nawskroś prowincjonalna i jeśli koniecznie trzeba ją przywrócić do jakiejkolwiek stolicy europejskiej, to zamiast mówić: Warszawa — mały Paryż. stokroć właściwiej byłoby powiedzieć: Warszawa — duże Kowno...

CZY... DUŻE KOWNO

Bo tak jest w Kownie jest w Warszawie nadmiar szpetoty urbanistycznej, tak jak w Kownie panoszy się secesja, tak jak w Kownie ulice są absurdalnie połamane i wąskie, i tak jak w Kownie aby całą tę szpetotę nietyle zlikwidować, ile ukryć, dekoruje się ohydne, secesyjne rudery neonowemi reklamami.

Czy można sobie wyobrazić jakąkolwiek stolicę europejską w której w najbardziej reprezentacyjnym punkcie miasta, naprzeciw siedziby głowy Państwa, tkwiłaby niewzruszenie szkaradna, drewniana szopa, dawny skład narzędzi rolniczych?...

Tak jest właśnie w Warszawie, naprzeciw Zamku królewskiego. Szopa ta notabene jest niezamieszkana, a są wniej jedynie dwa sklepiki z wodą sodową i owocami.

Dokończenie na str. 6-ej

Dom kobiet z... szerokiemi plecami

„Artyści" z nieprawdziwego zdarzenia w T. K. K. T.

Kiedy kraj cały ugina się pod ciężarem wyjątkowo skomplikowanej sytuacji materjalnej, kiedy wymaga się od obywatela jaknajdalej posuniętych oszczędności, kiedy wysiłek wszystkich skierowany jest w stronę zachowania równowagi gospodarczej za wszelką cenę, jesteśmy jednocześnie świadkami **wręcz odmiennej polityki i odmiennych oczywiście efektów** na terenie organizacji nie bez słuszności nazwanej przez kogoś Towarzystwem Krzywienia Kultury Teatralnej w Polsce.

Pod wodzą pp. Szyfmana, Kaden-Bandrowskiego i Zawistowskiego, a do niedawna Janusza Jędrzejewicza, już drugi sezon „funkcjonuje" ten anormalny w całym świecie, u nas usankcjonowany, koncern teatralny grupujący aż 5 scen stołecznych.

Niemamy zamiaru w tym artykule wykazywać absurdalności istnienia takiego właśnie koncernu pod rządami jednego człowieka, nawet tak bardzo utalentowanego jak p. dr. Arnold Szyfman. Do sprawy tej zresztą wrócimy przy okazji. Narazie, pod wrażeniem znakomitej prelekcji tegoż p. Szyfmana wygłoszonej przed kilkunastu dniami wobec przedstawicieli prasy, **chcielibyśmy skonfrontować z opty mistycznym obrazem przedstawionym przez prelegenta szereg faktów**, niestety, całkowicie zniekształcające sielankowe, wedle p. Szyfmana, oblicze Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej.

Tajemnicą poliszynela jest, że sytuacja materjalna tego nieprawdopodobnego koncernu przedstawia się wręcz rozpaczliwie. Sam p. Szyfman przy całym swym optymiźmie, wspomnieć raczył, że deficyty są, nie dodał tylko w jakiej wysokości...

Ale tu oto szary człowiek, męczennik przedstawień abonamentowych, ma prawo zapytać jakże to powstają te deficyty w zasobnych materjalnie teatrach gdzie zgrupowano tylu speców repertuarowych i najznakomitszy zespół aktorski w Polsce.

W dzisiejszym artykule chcemy zająć się tym właśnie zespołem. Są w nim m. in. takie asy sceny polskiej jak Stępowski, Zelwerowicz, Solski, Węgrzyn, Modzelewska, Dulęba, jest Leszczyński, Maszyński i Chmielewski, Pancewiczowa i Mila Kamińska. Są sławy, przeciętności i... miernoty.

Reżyser, obsadzając to czy inną sztukę ma w czem wybierać.

Ale... w praktyce widocznie sytuacja przedstawia się inaczej, bo weźmy np. znakomitą artystkę p. Dulębę. W sezonie bieżącym, chociaż pierwsza połowa zbliża się ku końcowi **artystki tej nie pokazano nam na scenie ani razu**, w sezonie ub. grała w dwu sztukach („Ciężkie czasy" i „Urodziny"). P. Pancewiczową w ub. sezonie mogliśmy oklaskiwać w „Ciężkich Czasach" i paru spektaklach „Wyzwolenia". W sezonie bieżącym **widzieliśmy ją aż... 6 razy** w „Zburzeniu Jerozolimy". P. Kamińską ledwo nam pokazano w poronionym „Łańcuchu". **Różycki zjawił się od początku sezonu dopiero w „Fryderyku Wielkim"...**

A przecież ci wszyscy aktorzy, to nie groszowe gaże, wszyscy oni mają kontrakty z gwarantowana ilością występów. Wszystkim trzeba płacić!

Zespół TKKT liczy ponad sto osób. Nawet laik wie doskonale, że większość sztuk wymaga przewagi obsady męskiej i angażując zespół dyrekcja każdego teatru fakt ten ma stale na uwadze.

Oczywiście inaczej rozumowała dyrekcja koncernu. Na stokilkanaście osób zespołu **jest w TKKT prawie 50 kobiet.** Rezultat - kobiety biorą pieniądze dosłownie zadarmo, natomiast mężczyzn trzeba wyłapywać u Loursa czy Semadeniego na „dogrywanie".

Nie łudźmy się, „dom kobiet" w TKKT powstał nie dlatego, żeby p. Szyfman uważał, że tyle właśnie potrzebuje mieć aktorek, tylko dlatego, że p. Szyfmanowi w ten czy w inny sposób **te czy inne panie kazano zaangażować.**

Legjonista, który w walce o niepodległość Polski postradał oczy ma prawo domagać się aby rząd i społeczeństwo otoczyło go pełną opieką. Należą mu się wszelkie możliwe koncesje i świadczenia, natomiast w żadnym razie niemożna tegoż inwalidy wykorzystać jako argument przy angażowaniu więcej niż słabej aktorki prowincjonalnej. To jest równie brzydkie, jak nieetyczne.

Przyjaźń z żoną wysokiego dygnitarza państwowego, czy też „towarzyskie" stosunki z innym dygnitarzem cywilnym lub wojskowym niemogą w żadnym wypadku być pomostem dla zdeklasowanych „div" kabaretowych, modelek rewjowych czy kowięt prowincjonalnych w ich drodze ku... scenom Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. Tego przynajmniej ma prawo domagać się, jeśli już nie uczciwe kierownictwo teatrów, to w każdym razie publiczność, dla której **pp. Balcerkiewiczówna, Wojdalińska, czy Bukojemska** lub im podobne na scenach TKKT niemogą być w żadnym razie „właściwym człowiekiem na właściwem miejscu."

Protekcjonizm rozpanoszony w koncernie nie kończy się jednakże wraz z zaangażowaniem „gwiazdy". Oto szereg drugo czy trzeciorzędnych aktoreczek czując za sobą odpowiednio szerokie plecy, pod żadnym pozorem niegodzi się przyjąć małą rolę czy epizod. W rezultacie zamiast pozostających na stałej gaży pp. Wasiutyńskiej, Barszczewskiej czy Brzezińskiej, trzeba do nadmiernie rozbudowanego zespołu... doangażować bezrobotne aktorki z miasta (do „Starego Wina" 2, do „Domu otwartego" — 4 i t. d.)

Milutka tancereczka baletu warszawskiego p. Nobisówna czy rewjowa wodewilistka p. Magierówna niewątpliwie są pełne dobrych chęci i może nawet możliwości, ale czy koniecznie muszą występować zamiast strojących fochy koleżanek? To przecież kosztuje, panowie!

Nienależy dziwić się koncernowi TKKT, że ulegając prądowi czasu, łatwo daje się brać na lep sensacji. Rezultatem tego jest angażowanie na stałe lub „gościnne występy" t. zw. „gwiazd" rewjowych. Szczęśliwcy ci dostają zwykle gaże znacznie większe od gaż aktorów dramatycznych, do ich „typu" dostosowuje się sztuki i w rezultacie — np. **p. Dymsza, niewątpliwie jeden z najbardziej utalentowanych komików rewjowych i filmowych, przykro rozkłada się czy to w „Domu otwartym" czy w „śnie nocy letniej" czy nawet w osławionej szmirze „Ty, to ja."**

Do tej ostatniej, poronionej buchty doangażowano, również idąc po linji sensacji kabaretowo - operetkowej takich „tytanów sceny" jak: Obarska, Gabrjeli, Wawrzkowicz...

Oczywiście klapa była generalna.

Klapę zrobił Bodo w „Szczęśliwym pechu".

Czy trzeba więcej przykładów? Czy mało pieniędzy na te „eksperymenty" niepoważnych ludzi wyrzucono w błoto?

Jakże wymowne są te fakty, jak bardzo jaskrawe światło rzucają one na bezgłową gospodarkę teatralnego koncernu.

Dodajemy do tego wszystkiego, tragiczne bezhołowie w doborze repertuaru, dodajmy słynne obsady „do góry nogami", dzięki którym **np. Ćwiklińskiej powierzono rolę 18-letniej, uwiedzionej dziewczyny w „Muzyce na ulicy"**, a kiedy odrzuciła tę rolę po pierwszej próbie, dano ją Gorczyńskiej, aby wreszcie obsadzić inną, bardziej właściwą aktorkę, rolę Stępowskiego powierza się Rolandowi, a rolę Rolanda — Samborskiemu, Różańska jest rówieśnicą Solskiej, a Socha ojcem Węgrzyna, a otrzymamy obraz, jakże daleki od tego, co był łaskaw tak optymistycznie przedstawić p. Szyfman.

My rozumiemy, p. doktorze, że w takich warunkach niemoże nie być deficytu, jak również nie może być „kultury teatralnej". Rozumiemy to doskonale, mimo propagandy p. Świerczewskiego, uczonych wywodów p. Pomirowskiego, niesmacznej reklamy prasowo-radjowej (której poświęcimy w najbliższej przyszłości więcej miejsca). To wszystko jest aż nadto zrozumiałe i... przykre.

O cyfrach pomówimy innym razem, bardziej szczegółowo niż zrobił to Pan na konferencji z przedstawicielami prasy.

Krzysztof Miłosz.

Warszawa w kwiatach,

a pieniądze w błocie!

W obliczu zbliżających się wyborów do zarządu m. st. Warszawy, warto byłoby zrobić retrospektywny przegląd gospodarski Zarządu Miejskiego sprawnie zainaugurowanego przez obecnego premiera Rzeczypospolitej, a dalej już pozostającego pod energicznem kierownictwem min. Stefana Starzyńskiego.

HUZIA NA SOPLICĘ!

Zarząd Miejski, jak ongiś smutnej pamięci Magistrat dla prasy sanacyjnej, był od pierwszych chwil swego istnienia terenem zaciekłych ataków prasy, opozycyjnej, która do białej gorączki podniecona rugami ludzi partyjnych, tak znakomicie w b. Magistracie ugruntowanych, wylewała i po dziś dzień robi to konsekwentnie, kubły pomyj na nowych ojców miasta, hurtem przekreślając wszystko to co dla Warszawy robili oni, lub zrobić chcą.

Nasz organ, daleki od politycznych animozyj, pragnie naświetlić gospodarkę Zarządu Miejskiego bezwzględnie objektywnie, li tylko pod kątem widzenia interesów miasta i jego obywateli.

GARŚĆ ATUTÓW.

Niesposób więc pominąć milczeniem „Warszawy w kwiatach", czy efektownych iluminacyj pomników lub wspanialszych gmachów stolicy. Trzeba pamietać i o robotach asfaltowych i kanalizacyjnych, o przebudowie pałacu Blanka i znakomitem ulokowaniu Opery warszawskiej w rękach p. Korolewicz - Waydowej.

Przytoczyliśmy tu „z imienia i nazwiska" zaledwie garść sukcesów Zarządu Miejskiego i fakty te, bezwzględnie dodatnie, tembardziej upoważniają nas do krytycznej oceny innych faktów, mniej może słonecznych, ale bardziej istotnych.

DOMENA PARTYJNIKÓW.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że d. Magistrat był domną najróżniejszych ugrupowań politycznych wrogo ustosunkowanych do rządów pomajowych. Jasnem jest, że rozpanoszone w Magistracie politykierstwo i partyjnictwo, przysłaniało istotną robotę, dla wykonywania której powołani byli ci właśnie urzędnicy. Toteż z największem uznaniem, zdrowo myślący odłam społeczeństwa przyjął radykalne rugi wszystkich tych, którzy zamiast powierzoną im pracą, zajmowali się robotą polityczną. Dla takich ludzi zabrakło miejsca w Zarządzie Miejskim i wobec tego postanowiono ich bądź zredukować, bądź też, jeśli lata służby na to pozwalały, emerytować.

POMYSŁ DOBRY, ALE WYKONANIE

Ale... Zarząd Miejski czy to kierując się oszczędnościami czy swoistą interpretacją przepisów pracowniczych, mimo bardzo przejrzystego w tej sprawie orzeczenia Sądu Najwyższego, do września 1935 roku z reguły dopuszczał do procesów z pracownikami zredukowanymi, którym niewiadomo na jakiej podstawie tenże Zarząd **odmawiał wypłacenia odszkodowania za... niewykorzystany urlop.**

Tu warto zaznaczyć, że w Zarządzie niebyło skrystalizowanego pojęcia co do tej sprawy. Jedne działy wypłacały zredukowanym czy emerytowanym różnicę między emeryturą, a pensją czynną, traktując to jako ekwiwalent urlopowy, inne wogóle niepłaciły...

OKÓLNIK - IMPOTENT.

Oszczędność przedewszystkiem.

Kiedy w lecie ub. roku w związku ze zmianą płac zwolniono kilkuset pracowników głównie z wodociągów i tramwajów, sprawa odszkodowania urlopowego stała się wyjątkowo aktualna i wówczas to wydany został następujący okólnik:

„Wydział Spraw Ogólnych Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie niniejszem podaje do wiadomości i stosowania, że na zasadzie przepisów Ustawy z dn. 16. V. 1922 r. o urlopach i Rozp. Wykonaw. do tej Ustawy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z dn. 11. VI. 1932 r., pracownikom miejskim, przeniesionym na emeryturę przed wykorzystaniem urlopu wypoczynkowego, przysługuje prawo do otrzymania całkowitego wynagrodzenia, niezależnie od zaopatrzenia emerytalnego. Dyrektor W. S. O. (—) H. Pawłowicz, Warszawa, dn. 5 września 1935 r.".

Ledwie jednakże instytucje miejskie otrzymały ten okólnik, poszedł w ślad za nim inny, bardzo zagmatwany, a w każdym razie odwołujący to, co było w okólniku poprzednim.

Cukie[illegible] nierząd lepiej!

[illegible]na plama Warszawy

W niedługim czasie na wokandzie sądu okręgowego w Warszawie znajdzie się wyjątkowy proces na tle szablonowego dla stosunków wielkomiejskich przestępstwa.

Oskarżonym jest zwykły żydowski kamasznik o mało dźwięcznem nazwisku i imieniu Kalke Szpajzman. Poszkodowaną jest jego żona.

Napozór zdawałoby się, sądząc z nazwisk bohaterów tego dramatu, że chodzi tu o jakąś zwykłą, brudną i nieciekawą sprawę, o powszednie wydarzenia, które rozegrały się na dnie gdzie wartość życia i ciała ludzkiego równa się groszom.

Tymczasem w rzeczywistości jest inaczej.

Bo pani Szpajzmanowa nie była zwykłą „ćmą nocną“, istotą kryjącą się w mrokach ulicznych, ściganą przez policję. Przeciwnie, występowała w rzęsiście oświetlonych lokalach, w atmosferze luksusu, zabawy i radości. Szpajzmanowa, żona żydowskiego kamasznika była **fordanserką w najbardziej luksusowych nocnych lokalach warszawskich.** Co wieczór przebierała się w eleganckie balowe stroje i wydekoltowana, pachnąca wyszukanemi perfumami zasiadała na swoim stałym miejscu w „zakładzie pracy“, ażeby tutaj ściągać do siebie gości, nęcić ich swoją zmysłową urodą i szukać zarobku dla lokalu, a środków utrzymania dla siebie.

I kiedy nad ranem już miasto budziło się do życia, kiedy na sali, zabawa dochodziła do punktu kulminacyjnego, w gabinetach restauracyjnych rozgrywał się ostatni akt całonocnego szaleństwa.

Pewnego dnia przy zbiegu ulic Bielańskiej i Długiej, jakiś mężczyzna zbliżył się do wytwornie ubranej kobiety i chlusnął jej w twarz zawartość małej buteleczki.

Był to witryolej!

Zebrał się tłum. Nieznajomego aresztowano. Jak okazało się, sprawcą napadu był kamasznik Szpajzman, a ofiarą... jego żona.

Przewieziona do szpitala, złożyła fordanserka sensacyjne wyjaśnienia. [illegible] możności z[illegible]wana.

Ten oto wypadek stał się punktem wyjścia dla sprawy, która rzuciła promień jaskrawego światła w mroczne kulisy wielkomiejskiego życia. Warto zająć się bliżej tą niezwykłą sprawą kamasznika - sutenera, warto zbliska spojrzeć na osoby, które przewiną się w tym procesie.

Narazie, poświęcimy uwagę gabinetom nocnych lokali, tym gabinetom, które wysuwają się na czołowe miejsce w procesie męża fordanserki.

Jest tajemnicą Poliszynela, że przy każdym, za nielicznemi wyjątkami, „szanującym się“ nocnym lokalu istnieją gabinety. Fakt ten nie jest bynajmniej ukrywany.

W katalogach telefonicznych widnieją specjalne numery telefonów gabinetów. Kwitnie tu proceder nierządu w całej pełni, o tyle jeszcze niebezpieczniejszy, **że ofiarami tego procederu padają bezbronne istoty.**

Najbardziej luksusowe i wytworne lokale czerpią z tego źródła gros swoich zysków. Nie mamy powodów ukrywać nazw tych lokali, które same nie kryją się z tem. A więc choćby pierwszorzędny hotel Bristol. Z sali restauracyjnej prowadzą schodki na pierwsze piętro. Przyćmione światełka, zakonspirowane miny służby i długi szereg drzwi, kryjących za sobą wiele, wiele tajemnic. A hotel naprzeciwko, pretendujący do rzędu najbardziej pierwszorzędnych w Europie. A wspaniały dancing „Oaza“ na placu Teatralnym. Należałoby za nielicznemi wyjątkami wymienić wszystkie bez wyjątku lokale, ażeby otrzymać, obraz rzeczywisty...

Wślad za temi pierwszorzędnemi lokalami idą mniej luksusowe, różne „Marsy“, „Tivolli“, „Wiechy“, „Satyry“ i t. p. instytucje, które, co tu dużo mówić, jawnie dają przytułek nierządowi.

Gabinety opłacają się znakomicie. Właściciele potrafią zdyskontować fakt, że pozą gabinetami nocnych lokali i knajp represje władz dotykają wszelkich przejawów nierządu. Rachunki tu są niezwykle słone. **Rachunki po 1.000 złotych za jedną noc w gabinecie, w lokalach pierwszorzędnych** nie należą do wyjątków. Często kroć zdarza się, że gabinet „targuje“ więcej niż zapełniona sala.

Proceder uprawiany jest zupełnie jawnie. Co pewien czas w drzwiach prowadzących do gabinetów znika jakaś para, zazwyczaj pijany gość i jakaś „solistka“, (pretensjonalna nazwa dla artystek nocnych kabaretów) lub fordanserka. Najmniej z tego mają właśnie te kobiety. Gość albo zostawi coś swojej towarzyszce nocnej zabawy, albo nie. Partnerka musi zadowolnić się trunkami. Wystarczy jeżeli ją się upije. Niech tylko spróbuje odmówić swemu towarzyszowi. **Nazajutrz już jest na bruku.**

Nasuwa się pytanie, czemu walka z nierządem dotyka wszystkich dziedzin, pozatemi oazami wyuzdanej rozpusty. Bo przecież hotele są nawet zamykane, o tylko okaże się, że dawały przytułek „parkom“, najsurowsze kary spotykają, częstokroć stojące na najniższym poziomie rozwoju umysłowego i moralnego „gosposie“, które za marne grosze wynajmują pokoje prostytutkom, co noc na miasto wyjeżdża sławetna buda, której, towarzyszą przeraźliwe odgłosy wołań o pomoc szczutych jak zwierzyna kobiet. A tymczasem, tuż pod okiem władz, niczem nieskrępowani, dorabiają się fortun na najochydniejszym procederze szanowani właściciele przedsiębiorstw nocnych. **Jeszcze niedawno Bristolem zarządzała dyrekcja Banku Cukrownictwa.** Więc okazuje się, że nietylko „cukier krzepi!...“

Proces żydowskiego kamasznika Szpajzmana rzuci jeszcze więcej światła na prawdziwe kulisy nocnej Warszawy. Narazie, na marginesie tego procesu w całej jaskrawości wysuwa się sprawa gabinetów.

Gabinety nocnych dancingów to jedna z licznych czarnych plam na sumieniu Warszawy. Rodzi się w tych gabinetach niejedna zbrodnia, niejedno przestępstwo. Z tą plagą władze winny przedsięwziąć walkę bezwzględną. Walkę, choćby jakieś „niewidzialne moce“ miały chronić swemi wpływami tę hańbę Warszawy. **V.**

Królowa za... 1000 zł.

Kryminał pod protektoratem ZAD'u

Co roku w restauracyjnych salonach Hotelu Europejskiego rozgrywa się dość niezwykłe widowisko nazwane niewiadomo dlaczego „balem mody.“

Ten dziwny „bal“ organizuje sławny impresarjo warszawski p. Bronisław Iwanowski pod szyldzikiem **Związku Autorów Dramatycznych.** Niema najmniejszych wątpliwości co do tego, że Związek z „balu mody“ materjalnie uzyskuje grosze, moralnie — problematyczny splendor dla 2 czy 3 członków ZAD-u, którzy zdecydowali się patronować modniarkom, krawcowym, modelkom i... modniarskim „referentom prasowym.“

W sumie—nie poświęcilibyśmy tej imprezie p. Iwanowskiego tyle miejsca, gdyby nie... kryminalny posmaczek unoszący się nad tym rzekomo „najwytworniejszym“ balem stolicy.

Sprytna reklama w prasie, snobizm, a przedewszystkiem autorytet skądinąd przywoitej organizacji, przysłaniają zwykłemu śmiertelnikowi, który zdecydował się kupić bilet i pójść na „bal mody“ prawdziwe, **a bardzo szpetne oblicze tej „zabawy.“**

Zacznijmy więc od początku.

W hallu hotelu Europejskiego łatwowiernego gościa przyodzianego we frak uprzejmie proszą o bilet, a jednocześnie komunikują mu, że **musi kupić kupon do głosowania** na... królowę mody.

Wcale uprzejma i dla wielu emocjująca zabawa. Więc... „proszę a ile ten kupon kosztuje?“

Okazuje się, że — 2 złote... Kupon nabyty, w salach atmosfera bardzo problematycznej zabawy, bogata kolekcja pań i panów nasuwających mnóstwo zastrzeżeń, ale — nieczas zastanawiać się, zwłaszcza, kiedy znajoma pani, istotnie ubrana jak bóstwo, zdecydowała się walczyć o... berło królowej mody.

Zgłoszenie przyjęto, no i... **„oczywiście jeśli szanowna pani otrzyma dostateczną ilość głosów...“** Pani, jej towarzysz, znajomi czy rodzina hurtem wykupują kupony uprawniające do głosowania (po dwa złote) i niezmordowanie wypisują nazwisko kandydatki do królewskiego tronu.

Zapytywani organizatorzy„ balu“, stwierdzają, że pani ma wszelkie szanse, tylko trzeba jeszcze 50 głosów, bo właśnie 45 kupiła pani X... Więc jeszcze 100 zł. Ręce puchną od pisania, ale czegóż się nie robi dla pani.

Około 3-ej nad ranem okazuje się, że mimo tak pakaźnej ilości głosów, królową mody została inna pani.

Ostatecznie, trudno doszukać się w tem jakiejś niesprawiedliwości. Więcej kuponów, sprawa jasna!

Ba, ale tu właśnie zaczyna sie kryminalna afera. Bo oto okazuje się, **że** wybrana na królow[illegible] „balu“ dama, tytuł ten zdobyła już na kilka dni przed „balem“...

Na kilka dni przed „balem“, organizator tej aferki, p. Bronisław Iwanowski w czułem sam na sam z protektorem pięknej pani**uzyskał od niego 800 czy 1,000 zł.,** drugie tyle zobowiązali się wypłacić Myszkorowscy. Abfelbaumowie, czy Leszczyńscy wzamian za to, że królowa będzie w ich sukni czy pantofelkach lub futrze. co podczas „balu“ odpowiednio się reklamuje, no i pierwsza część interesu ubita.

Dalej już idzie handel kuponami do... głosowania, dalej idzie ordynarna komedja wyborów i smutna rzeczywistość bezkarnego sprzedawania po raz drugi objektu, **który już raz został sprzedany.**

Jak byśmy osądzili np. loterję państwową, któraby sprzedawała bilety loteryjne wiedząc, że los na który ma paść główna wygrana już ulokowany we właściwych rękach?

Byłoby przy takiej sprawie niewątpliwie dużo gwałtu, rozdzierania szat, pisania o zaniku moralności, etc. A jakże nazwać brudne szacherki p. Iwanowskiego, któremu patronuje cały ZAD z takimi autorami, jak p.p. **Grubiński, Hertz, Beylin,** etc. na czele?

Obserwatorka

Dokończenie ze str. 4-ej

LAWINA PROCESÓW

I oto od września do drugiej połowy listopada znów zawisła cisza nad odszkodowaniami urlopowemi. Cisza, przerywana jedynie coraz liczniejszemi procesami pracowników, z reguły wypadającemi na niekorzyść Zarządu Miejskiego, a co za tem idzie, narażającemi tenże Zarząd na niepotrzebne koszta.

Dwa dalsze okólniki nie zmieniły sytuacji. Spraw było coraz więcej, zwłaszcza, że z dn. 31 grudnia 1935 r. następowało przedawnienie wszystkich pretensyj wobec Zarządu Miejskiego.

TYSIĄCE W BŁOCIE.

Aby tej ewentualności uniknąć, emerytowani pracownicy masowo wnosili skargi, przyczem pretensje pracownicze sięgały około 50.000 zł od czego koszta sadowe wynoszą plus-minus 7.000 zł. Dotyczy to spraw wniesionych w ostatnich miesiącach ub. roku, bowiem ogólna cyfra spraw o odszkodowania urlopowe jest bez porównania wyższa (jak mogliśmy to stwierdzić na podstawie obserwacji wokand sądowych) i koszta od tych spraw, które Zarząd Miejski bądź już musiał uiścić, bądź będzie musiał uiścić przekraczają 20.000 zł.

Ten i ów uśmiechnie się lekceważąco. Dwadzieścia tysięcy przy miljonowych budżetach... Kropla w morzu!

Ale to są pieniądze naprawdę wyrzucone w błoto, boć przecież chyba radcowie prawni Zarządu Miejskiego doskonale zdają sobie sprawę z bezcelowości tych „kosztownych oszczędności“. A może poprostu... brak organizacji?

KAIFASZ I ANASZ.

Świadczyłaby o tem dobitnie groteskowa sprawa emerytowanego urzędnika wydziału Opieki Społecznej Grabowskiego.

Wydział Opieki Społecznej emerytując Grabowskiego uznał za stosowne nie przyznawać mu ustawowego 3-miesięcznego odszkodowania, tym czasem biuro personalne Zarządu Miejskiego zawiadomiło Grabowskiego, że emerytura zostanie mu wypłacona dopiero po upływie 3-ch miesięcy od daty zwolnienia...

Od wiosny, po dziś dzień sprawa ta nie została wyjaśniona. Ex-urzędnik Grabowski czeka. Nieznamy go, niewidzieliśmy nawet nigdy na oczy, jednakże przykład załatwiania jego sprawy jest tak znamienny, że trudno było nie przytoczyć go tutaj.

Wierzymy, że czasy Biłowickich i Łaniewskich minęły bezpowrotnie, ale... czyżby naprawdę nie przyszły jeszcze czasy o s z c z ę d z a n i a?

M. W.

Dom kobiet z... szerokiemi plecami

„Artyści" z nieprawdziwego zdarzenia w T. K. K. T.

Kiedy kraj cały ugina się pod ciężarem wyjątkowo skomplikowanej sytuacji materjalnej, kiedy wymaga się od obywatela jaknajdalej posuniętych oszczędności, kiedy wysiłek wszystkich skierowany jest w stronę zachowania równowagi gospodarczej za wszelką cenę, jesteśmy jednocześnie świadkami **wręcz odmiennej polityki i odmiennych oczywiście efektów** na terenie organizacji nie bez słuszności nazwanej przez kogoś Towarzystwem Krzywienia Kultury Teatralnej w Polsce.

Pod wodzą pp. Szyfmana, Kaden-Bandrowskiego i Zawistowskiego, a do niedawna Janusza Jędrzejewicza, już drugi sezon „funkcjonuje" ten anormalny w całym świecie, u nas usankcjonowany, koncern teatralny grupujący aż 5 scen stołecznych.

Niemamy zamiaru w tym artykule wykazywać absurdalności istnienia takiego właśnie koncernu pod rządami jednego człowieka, nawet tak bardzo utalentowanego jak p. dr. Arnold Szyfman. Do sprawy tej zresztą wrócimy przy okazji. Narazie, pod wrażeniem znakomitej prelekcji tegoż p. Szyfmana wygłoszonej przed kilkunastu dniami wobec przedstawicieli prasy, **chcielibyśmy skonfrontować z opty mistycznym obrazem przedstawionym przez prelegenta szereg faktów**, niestety, całkowicie zniekształcających sielankowe, wedle p. Szyfmana, oblicze Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej.

Tajemnicą poliszynela jest, że sytuacja materjalna tego nieprawdopodobnego koncernu przedstawia się wręcz rozpaczliwie. Sam p. Szyfman przy całym swym optymiźmie, wspomnieć raczył, że deficyty są, nie dodał tylko w jakiej wysokości...

Ale tu oto szary człowiek, męczennik przedstawień abonamentowych, ma prawo zapytać jakże to powstają te deficyty w zasobnych materjalnie teatrach gdzie zgrupowano tylu speców repertuarowych i najznakomitszy zespół aktorski w Polsce.

W dzisiejszym artykule chcemy zająć się tym właśnie zespołem. Są w nim m. in. takie asy sceny polskiej jak Stępowski, Zelwerowicz, Solski, Węgrzyn, Modzelewska, Dulęba, jest Leszczyński, Maszyński i Chmielewski, Pancewiczowa i Mila Kamińska. Są sławy, przeciętności i... miernoty.

Reżyser, obsadzając tę czy inną sztukę ma w czem wybierać.

Ale... w praktyce widocznie sytuacja przedstawia się inaczej, bo weźmy np. znakomita artystkę p. Dulębe. W sezonie bieżącym, chociaż pierwsza połowa zbliża się ku końcowi **artystki tej nie pokazano nam na scenie ani razu,** w sezonie ub. grała w dwu sztukach („Ciężkie czasy" i „Urodziny"). P. Pancewiczową w ub. sezonie mogliśmy oklaskiwać w „Ciężkich Czasach" i paru spektaklach „Wyzwolenia". W sezonie bieżącym **widzieliśmy ją aż... 6 razy** w „Zburzeniu Jerozolimy". P. Kamińską ledwo nam pokazano w poronionym „Łańcuchu". **Różycki zjawił się od początku sezonu dopiero w „Fryderyku Wielkim"...**

A przecież ci wszyscy aktorzy, to nie groszowe gaże, wszyscy oni mają kontrakty z gwarantowana ilością występów. Wszystkim trzeba płacić!

Zespół TKKT liczy ponad sto osób. Nawet laik wie doskonale, że większość sztuk wymaga przewagi obsady męskiej i angażując zespół dyrekcja każdego teatru fakt ten ma stale na uwadze.

Oczywiście inaczej rozumowała dyrekcja koncernu. Na stokilkanaście osób zespołu **jest w TKKT prawie 50 kobiet.** Rezultat - kobiety biorą pieniądze dosłownie zadarmo, natomiast mężczyzn trzeba wyłapywać u Loursa czy Semadeniego na „dogrywanie"

Nie łudźmy się. „dom kobiet" w TKKT powstał nie dlatego, żeby p. Szyfman uważał, że tyle właśnie potrzebuje mieć aktorek, tylko dlatego, że p Szyfmanowi w ten czy w inny sposób **te czy inne panie kazano zaangażować.**

Legjonista, który w walce o niepodległość Polski postradał oczy ma prawo domagać się aby rząd i społeczeństwo otoczyło go pełną opieką. Należą mu się wszelkie możliwe koncesje i świadczenia, natomiast w żadnym razie niemożna tegoż inwalidy wykorzystać jako argument przy angażowaniu więcej niż słabej aktorki prowincjonalnej. To jest równie brzydkie, jak nieetyczne.

Przyjaźń z żoną wysokiego dygnitarza państwowego, czy też „towarzyskie" stosunki z innym dygnitarzem cywilnym lub wojskowym niemogą w żadnym wypadku być pomostem dla zdeklasowanych „div" kabaretowych, modelek rewjowych czy krowięt prowincjonalnych w ich drodze ku... scenom Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. Tego przynajmniej ma prawo domagać się, jeśli już nie uczciwe kierownictwo teatrów, to w każdym razie publiczność, dla której **pp. Balcerkiewiczówna, Wojdalińska, czy Bukojemska** lub im podobne na scenach TKKT niemogą być w żadnym razie „właściwym człowiekiem na właściwem miejscu."

Protekcjonizm rozpanoszony w koncernie nie kończy się jednakże wraz z zaangażowaniem „gwiazdy". Oto szereg drugo czy trzeciorzędnych aktoreczek czując za sobą odpowiednio szerokie plecy, pod żadnym pozorem niegodzi się przyjąć małą rolę czy epizod. W rezultacie zamiast pozostających na stałej gaży pp. Wasiutyńskiej, Barszczewskiej czy Brzezińskiej, trzeba do nadmiernie rozbudowanego zespołu... doangażować bezrobotne aktorki z miasta (do „Starego Wina" 2, do „Domu otwartego" — 4 i t. d.)

Milutka tancereczka baletu warszawskiego p. Nobisówna czy rewjowa wodewilistka p. Magierówna niewątpliwie są pełne dobrych chęci i może nawet możliwości, ale czy koniecznie muszą występować zamiast strojących fochy koleżanek? To przecież kosztuje, panowie!

Nienależy dziwić się koncernowi TKKT, że ulegając prądowi czasu, łatwo daje się brać na lep sensacji. Rezultatem tego jest angażowanie na stałe lub „gościnne występy" t. zw. „gwiazd" rewjowych. Szczęśliwcy ci dostają zwykle gaże znacznie większe od gaż aktorów dramatycznych, do ich „typu" dostosowuje się sztuki i w rezultacie — np. **p. Dymsza, niewątpliwie jeden z najbardziej utalentowanych komików rewjowych i filmowych, przykro rozkłada się czy to w „Domu otwartym" czy w „śnie nocy letniej" czy nawet w osławionej szmirze „Ty, to ja."**

Do tej ostatniej, poronionej buchty doangażowano, również idąc po linji sensacji kabaretowo - operetkowej takich „tytanów sceny" jak: Obarska, Gabrjeli, Wawrzkowicz...

Oczywiście klapa była generalna.

Klapę zrobił Bodo w „Szczęśliwym pechu".

Czy trzeba więcej przykładów? Czy mało pieniędzy na te „eksperymenty" niepoważnych ludzi wyrzucono w błoto?

Jakże wymowne są te fakty, jak bardzo jaskrawe światło rzucają one na bezgłową gospodarkę teatralnego koncernu.

Dodajemy do tego wszystkiego, tragiczne bezhołowie w doborze repertuaru, dodajmy słynne obsady „do góry nogami", dzięki którym **np. Ćwiklińskiej powierzono rolę 18-letniej, uwiedzionej dziewczyny w „Muzyce na ulicy"**, a kiedy odrzuciła tę rolę po pierwszej próbie, dano ją Gorczyńskiej, aby wreszcie obsadzić inną, bardziej właściwą aktorkę, rolę Stępowskiego powierza się Rolandowi, a rolę Rolanda — Samborskiemu, Różańska jest rówieśnicą Solskiej, a Socha ojcem Węgrzyna, a otrzymamy obraz, jakże daleki od tego, co był łaskaw tak optymistycznie przedstawić p. Szyfman.

My rozumiemy, p. doktorze, że w takich warunkach niemoże nie być deficytu, jak również nie może być „kultury teatralnej". Rozumiemy to doskonale, mimo propagandy p. Świerczewskiego, uczonych wywodów p. Pomirowskiego, niesmacznej reklamy prasowo-radjowej (której poświęcimy w najbliższej przyszłości więcej miejsca). To wszystko jest aż nadto zrozumiałe i... przykre.

O cyfrach pomówimy innym razem, bardziej szczegółowo niż zrobił to Pan na konferencji z przedstawicielami prasy.

Krzysztof Miłosz.

Warszawa w kwiatach,

a pieniądze w błocie!

W obliczu zbliżających się wyborów do zarządu m. st. Warszawy, warto byłoby zrobić retrospektywny przegląd gospodarski Zarządu Miejskiego sprawnie zainaugurowanego przez obecnego premiera Rzeczypospolitej, a dalej już pozostającego pod energicznem kierownictwem min. Stefana Starzyńskiego.

HUZIA NA SOPLICĘ!

Zarząd Miejski, jak ongiś smutnej pamięci Magistrat dla prasy sanacyjnej, był od pierwszych chwil swego istnienia terenem zaciekłych ataków prasy, opozycyjnej, która do białej gorączki podniecona rugami ludzi partyjnych, tak znakomicie w b. Magistracie ugruntowanych, wylewała i po dziś dzień robi to konsekwentnie, kubły pomyj na nowych ojców miasta, hurtem przekreślając wszystko to co dla Warszawy robili oni, lub zrobić chcą.

Nasz organ, daleki od politycznych animozyj, pragnie naświetlić gospodarkę Zarządu Miejskiego bezwzględnie objektywnie, li tylko pod kątem widzenia interesów miasta i jego obywateli.

GARŚĆ ATUTÓW.

Niesposób więc pominąć milczeniem „Warszawy w kwiatach", czy efektownych iluminacyj pomników lub wspanialszych gmachów stolicy. Trzeba pamiętać i o robotach asfaltowych i kanalizacyjnych, o przebudowie pałacu Blanka i znakomitem ulokowaniu Opery warszawskiej w rękach p. Korolewicz - Waydowej

Przytoczyliśmy tu „z imienia i nazwiska" zaledwie garść sukcesów Zarządu Miejskiego i fakty te, bezwzględnie dodatnie, tembardziej upoważniają nas do krytycznej oceny innych faktów, mniej może słonecznych, ale bardziej istotnych.

DOMENA PARTYJNIKÓW.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że d. Magistrat był domną najróżniejszych ugrupowań politycznych wrogo ustosunkowanych do rządów pomajowych. Jasnem jest, że rozpanoszone w Magistracie politykierstwo i partyjnictwo, przysłaniało istotną robotę, dla wykonywania której powołani byli ci właśnie urzędnicy. Toteż z największem uznaniem, zdrowo myślący odłam społeczeństwa przyjął radykalne rugi wszystkich tych, którzy zamiast powierzoną im pracą, zajmowali się robotą polityczną. Dla takich ludzi zabrakło miejsca w Zarządzie Miejskim i wobec tego postanowiono ich bądź zredukować, bądź też, jeśli lata służby na to pozwalały, emerytować.

POMYSŁ DOBRY, ALE WYKONANIE

Ale... Zarząd Miejski czy to kierując się oszczędnościami czy swoistą interpretacją przepisów pracowniczych, mimo bardzo przejrzystego w tej sprawie orzeczenia Sądu Najwyższego, do września 1935 roku z reguły dopuszczał do procesów z pracownikami zredukowanymi, którym niewiadomo na jakiej podstawie tenże Zarząd **odmawiał wypłacenia odszkodowania za... niewykorzystany urlop.**

Tu warto zaznaczyć, że w Zarządzie niebyło skrystalizowanego pojęcia co do tej sprawy. Jedne działy wypłacały zredukowanym czy emerytowanym różnicę między emeryturą, a pensją czynną, traktując to jako ekwiwalent urlopowy, inne wogóle niepłaciły...

OKÓLNIK - IMPOTENT.

Oszczędność przedewszystkiem.

Kiedy w lecie ub. roku w związku ze zmianą płac zwolniono kilkuset pracowników głównie z wodociągów i tramwajów, sprawa odszkodowania urlopowego stała się wyjątkowo aktualna i wówczas to wydany został następujący okólnik:

„Wydział Spraw Ogólnych Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie niniejszem podaje do wiadomości i stosowania, że na zasadzie przepisów Ustawy z dn. 16. V. 1922 r. o urlopach i Rozp. Wykonaw. do tej Ustawy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z dn. 11. VI. 1932 r., pracownikom miejskim, przeniesionym na emeryturę przed wykorzystaniem urlopu wypoczynkowego, przysługuje prawo do otrzymania całkowitego wynagrodzenia, niezależnie od zaopatrzenia emerytalnego. Dyrektor W. S. O. (—) H. Pawłowicz, Warszawa, dn. 5 września 1935 r.".

Ledwie jednakże instytucje miejskie otrzymały ten okólnik, poszedł w ślad za nim inny, bardzo zagmatwany, a w każdym razie odwołujący to, co było w okólniku poprzednim.

Cukier krzepi, nierząd lepiej!

Gabinety --- czarna plama Warszawy

W niedługim czasie na wokandzie sądu okręgowego w Warszawie znajdzie się wyjątkowy proces na tle szablonowego dla stosunków wielkomiejskich przestępstwa.

Oskarżonym jest zwykły żydowski kamasznik o mało dźwięcznem nazwisku i imieniu Kalke Szpajzman. Poszkodowaną jest jego żona.

Napozór zdawałoby się, sądząc z nazwisk bohaterów tego dramatu, że chodzi tu o jakąś zwykłą, brudną i nieciekawą sprawę, o powszednie wydarzenia, które rozegrały się na dnie gdzie wartość życia i ciała ludzkiego równa się groszom.

Tymczasem w rzeczywistości jest inaczej.

Bo pani Szpajzmanowa nie była zwykłą „ćmą nocną“, istotą kryjącą się w mrokach ulicznych, ściganą przez policję. Przeciwnie, występowała w rzęsiście oświetlonych lokalach, w atmosferze luksusu, zabawy i radości. Szpajzmanowa, żona żydowskiego kamasznika była **fordanserką w najbardziej luksusowych nocnych lokalach warszawskich.** Co wieczór przebierała się w eleganckie balowe stroje i wydekoltowana, pachnąca wyszukanemi perfumami zasiadała na swoim stałym miejscu w „zakładzie pracy“, ażeby tutaj ściągać do siebie gości, nęcić ich swoją zmysłową urodą i szukać zarobku dla lokalu, a środków utrzymania dla siebie.

I kiedy nad ranem już miasto budziło się do życia, kiedy na sali, zabawa dochodziła do punktu kulminacyjnego, w gabinetach restauracyjnych rozgrywał się ostatni akt całonocnego szaleństwa.

Pewnego dnia przy zbiegu ulic Bielańskiej i Długiej, jakiś mężczyzna zbliżył się do wytwornie ubranej kobiety i chlusnął jej w twarz zawartość małej buteleczki.

Był to witryolej!

Zebrał się tłum. Nieznajomego aresztowano. Jak okazało się, sprawcą napadu był kamasznik Szpajzman, a ofiarą... jego żona.

Przewieziona do szpitala, złożyła fordanserka sensacyjne wyjaśnienia. Opowiedziała, że zamach był aktem zemsty ze strony męża za to, że przestała go utrzymywać. **Mąż zmuszał ją do nierządu i zabierał wszystko,** co osiągała ze swego procederu. Kiedy odmówiła opłacania się, Szpajzman postanowił pozbawić żonę możności zarobkowania.

Ten oto wypadek stał się punktem wyjścia dla sprawy, która rzuciła promień jaskrawego światła w mroczne kulisy wielkomiejskiego życia. Warto zająć się bliżej tą niezwykłą sprawą kamasznika - sutenera, warto zbliska spojrzeć na osobv. które przewiną się w tym procesie.

Narazie, poświęcimy uwagę gabinetom nocnych lokali, tym gabinetom, które wysuwają się na czołowe miejsce w procesie męża fordanserki.

Jest tajemnicą Poliszynela, że przy każdym, za nielicznemi wyjątkami, „szanującym się“ nocnym lokalu istnieją gabinety. Fakt ten nie jest bynajmniej ukrywany.

W katalogach telefonicznych widnieją specjalne numery telefonów gabinetów. Kwitnie tu proceder nierządu w całej pełni, o tyle jeszcze niebezpieczniejszy, **że ofiarami tego procederu padają bezbronne istoty.**

Najbardziej luksusowe i wytworne lokale czerpią z tego źródła gros swoich zysków. Nie mamy powodów ukrywać nazw tych lokali, które same nie kryją się z tem. A więc choćby pierwszorzędny hotel Bristol. Z sali restauracyjnej prowadzą schodki na pierwsze piętro. Przyćmione światełka, zakonspirowane miny służby i długi szereg drzwi, kryjących za sobą wiele, wiele tajemnic. A hotel naprzeciwko, pretendujący do rzędu najbardziej pierwszorzędnych w Europie. A wspaniały dancing „Oaza“ na placu Teatralnym. Należałoby za nielicznemi wyjątkami wymienić wszystkie bez wyjątku lokale, ażeby otrzymać, obraz rzeczywisty...

Wśród za temi pierwszorzędnemi lokalami idą mniej luksusowe, różne „Marsy“, „Tivolli“, „Wiechy“, „Satyry“ i t. p. instytucje, które, co tu dużo mówić, jawnie dają przytułek nierządowi.

Gabinety opłacają się znakomicie. Właściciele potrafią zdyskontować fakt, że poza gabinetami nocnych lokali i knajp represje władz dotykają wszelkich przejawów nierządu. Rachunki tu są niezwykle słone. **Rachunki po 1.000 złotych za jedną noc w gabinecie, w lokalach pierwszorzędnych** nie należą do wyjątków. Częstokroć zdarza się, że gabinet „targuje“ więcej niż zapełniona sala.

Proceder uprawiany jest zupełnie jawnie. Co pewien czas w drzwiach prowadzących do gabinetów znika jakaś para, zazwyczaj pijany gość i jakaś „solistka“, (pretensjonalna nazwa dla artystek nocnych kabaretów) lub fordanserka. Najmniej z tego mają właśnie te kobiety. Gość albo zostawi coś swojej towarzyszce nocnej zabawy, albo nie. Partnerka musi zadowolnić się trunkami. Wystarczy jeżeli ją się upije. Niech tylko spróbuje odmówić swemu towarzyszowi. **Nazajutrz już jest na bruku.**

Nasuwa się pytanie, czemu walka z nierządem dotyka wszystkich dziedzin, pozatemi oazami wyuzdanej rozpusty. Bo przecież hotele są nawet zamykane, o tylko okaże się, że dawały przytułek „parkom“, najsurowsze kary spotykają, częstokroć stojące na najniższym poziomie rozwoju umysłowego i moralnego „gosposie“, które za marne grosze wynajmują pokoje prostytutkom, co noc na miasto wyjeżdża sławetna buda, której, towarzyszą przeraźliwe odgłosy wołań o pomoc szczutych jak zwierzyna kobiet. A tymczasem, tuż pod okiem władz, niczem nieskrępowani, dorabiają się fortun na najochydniejszym procederze szanowani właściciele przedsiębiorstw nocnych. **Jeszcze niedawno Bristolem zarządzała dyrekcja Banku Cukrownictwa.** Więc okazuje się, że nietylko „cukier krzepi!...“

Proces żydowskiego kamasznika Szpajzmana rzuci jeszcze więcej światła na prawdziwe kulisy nocnej Warszawy. Narazie, na marginesie tego procesu w całej jaskrawości wysuwa się sprawa gabinetów.

Gabinety nocnych dancingów to jedna z licznych czarnych plam na sumieniu Warszawy. Rodzi się w tych gabinetach niejedna zbrodnia, niejedno przestępstwo. Z tą plagą władze winny przedsięwziąć walkę bezwzględną. Walkę, choćby jakieś „niewidzialne moce“ miały chronić swemi wpływami tę hańbę Warszawy. **V.**

Królowa za... 1000 zł.

Kryminał pod protektoratem ZAD'u

Co roku w restauracyjnych salonach Hotelu Europejskiego rozgrywa się dość niezwykłe widowisko nazwane niewiadomo dlaczego „balem mody.“

Ten dziwny „bal“ organizuje sławny impresarjo warszawski p. Bronisław Iwanowski pod szyldzikiem **Związku Autorów Dramatycznych.** Niema najmniejszych wątpliwości co do tego, że Związek z „balu mody“ materjalnie uzyskuje grosze, moralnie — problematyczny splendor dla 2 czy 3 członków ZAD-u, którzy zdecydowali się patronować modniarkom, krawcowym, modelkom i... modniarskim „referentom prasowym.“

W sumie—nie poświęcilibyśmy tej imprezie p. Iwanowskiego tyle miejsca, gdyby nie... kryminalny posmaczek unoszący się nad tym rzekomo „najwytworniejszym“ balem stolicy.

Sprytna reklama w prasie, snobizm, a przedewszystkiem autorytet skądinąd pryzwoitej organizacji, przysłaniają zwykłemu śmiertelnikowi, który zdecydował się kupić bilet i pójść na „bal mody“ prawdziwe, **a bardzo szpetne oblicze tej „zabawy.“**

Zacznijmy więc od początku.

W hallu hotelu Europejskiego łatwowiernego gościa przyodzianego we frak uprzejmie proszą o bilet, a jednocześnie komunikują mu, że **musi kupić kupon do głosowania** na... królowę mody.

Wcale uprzejma i dla wielu emocjująca zabawa. Więc... „proszę a ile ten kupon kosztuje?“

Okazuje się, że — 2 złote... Kupon nabyty, w salach atmosfera bardzo problematycznej zabawy, bogata kolekcja pań i panów nasuwających mnóstwo zastrzeżeń, ale — nieczas zastanawiać się, zwłaszcza, kiedy znajoma pani, istotnie ubrana jak bóstwo, zdecydowała się walczyć o... berło królowej mody.

Zgłoszenie przyjęto, no i... **„oczywiście jeśli szanowna pani otrzyma dostateczną ilość głosów...“** Pani, jej towarzysz, znajomi czy rodzina hurtem wykupują kupony uprawniające do głosowania (po dwa złote) i niezmordowanie wypisują nazwisko kandydatki do królewskiego tronu.

Zapytywani organizatorzy „balu“, stwierdzają, że pani ma wszelkie szanse, tylko trzeba jeszcze 50 głosów, bo właśnie 45 kupiła pani X... Więc jeszcze 100 zł. Ręce puchną od pisania, ale czegóż się nie robi dla pani.

Około 3-ej nad ranem okazuje się, że mimo tak pokaźnej ilości głosów, królową mody została inna pani.

Ostatecznie, trudno doszukać się w tem jakiejś niesprawiedliwości. Więcej kuponów, sprawa jasna!

Ba, ale tu właśnie zaczyna sie kryminalna afera. Bo oto okazuje się, że wybrana na królowę „balu“ dama, tytuł ten zdobyła już na kilka dni przed „balem“...

Na kilka dni przed „balem“, organizator tej aferki, p. Bronisław Iwanowski w czułem sam na sam z protektorem pięknej pani **uzyskał od niego 800 czy 1,000 zł.,** drugie tyle zobowiązali się wypłacić Myszkorowscy, Abfelbaumowie, czy Leszczyńscy wzamian za to, że królowa będzie w ich sukni czy pantofelkach lub futrze, co podczas „balu“ odpowiednio się reklamuje, no i pierwsza część interesu ubita.

Dalej już idzie handel kuponami do... głosowania, dalej idzie ordynarna komedja wyborów i smutna rzeczywistość bezkarnego sprzedawania po raz drugi objektu, **który już raz został sprzedany.**

Jak byśmy osądzili np. loterję państwową, któraby sprzedawała bilety loteryjne wiedząc, że los na który ma paść główna wygrana już ulokowany we właściwych rękach?

Byłoby przy takiej sprawie niewątpliwie dużo gwałtu, rozdzierania szat, pisania o zaniku moralności, etc. A jakże nazwać brudne szacherki p. Iwanowskiego, któremu patronuje cały ZAD z takimi autorami, jak pp. **Grubiński, Hertz, Beylin,** etc. na czele?

Obserwatorka

Dokończenie ze str. 4-ej

LAWINA PROCESÓW

I oto od września do drugiej połowy listopada znów zawisła cisza nad odszkodowaniami urlopowemi. Cisza, przerywana jedynie coraz liczniejszemi procesami pracowników, z reguły wypadającemi na niekorzyść Zarządu Miejskiego, a co za tem idzie, narażającemi tenże Zarząd na niepotrzebne koszta.

Dwa dalsze okólniki nie zmieniły sytuacji. Spraw było coraz więcej, zwłaszcza, że z dn. 31 grudnia 1935 r. następowało przedawnienie wszystkich pretensyj wobec Zarządu Miejskiego.

TYSIĄCE W BŁOCIE.

Aby tej ewentualności uniknąć, emerytowani pracownicy masowo wnosili skargi, przyczem pretensje pracownicze sięgały około 50.000 zł od czego koszta sadowe wynoszą plus-minus 7,000 zł. Dotyczy to spraw wniesionych w ostatnich miesiącach ub. roku, bowiem ogólna cyfra spraw o odszkodowania urlopowe jest bez porównaia wyższa (jak mogliśmy to stwierdzić na podstawie obserwacji wokand sądowych) i koszta od tych spraw, które Zarząd Miejski bądź już musiał uiścić, bądź będzie musiał uiścić przekraczają 20.000 zł.

Ten i ów uśmiechnie się lekceważąco. Dwadzieścia tysięcy przy miljonowych budżetach... Kropla w morzu!

Ale to są pieniądze naprawdę wyrzucone w błoto, boć przecież chyba radcowie prawni Zarządu Miejskiego doskonale zdają sobie sprawę z bezcelowości tych „kosztownych oszczędności“. A może poprostu... brak organizacji?

KAIFASZ I ANASZ.

Świadczyłaby o tem dobitnie groteskowa sprawa emerytowanego urzędnika wydziału Opieki Społecznej Grabowskiego.

Wydział Opieki Społecznej emerytując Grabowskiego uznał za stosowne nie przyznawać mu ustawowego 3-miesięcznego odszkodowania, tym czasem biuro personalne Zarządu Miejskiego zawiadomiło Grabowskiego, że emerytura zostanie mu wypłacona dopiero po upływie 3-ch miesęicy od daty zwolnienia...

Od wiosny, po dziś dzień sprawa ta nie została wyjaśniona. Ex-urzędnik Grabowski czeka. Nieznamy go, niewidzieliśmy nawet nigdy na oczy, jednakże przykład załatwiania jego sprawy jest tak znamienny, że trudno było nie przytoczyć go tutaj.

Wierzymy, że czasy Biłowickich i Łaniewskich minęły bezpowrotnie, ale... czyżby naprawdę nie przyszły jeszcze czasy o s z c z ę d z a n i a?

M. W.

Dokończenie ze str. 3-ej

SZPETOTA

Pod bokiem równie brzydkiego jak ogromnego gmachu B.G.K. postawiono wyjątkowo brzydki rondel mieszczący kilka sklepów. Rondel ten wystawiono mniej więcej rok temu, dzisiaj trzeba go zburzyć, bo na temże placu ma stanąć dalsze skrzydło B. G. K. Poco stawiano tę budowlę trudno odgadnąć.

Ale, dajmy spokój urbanistyce Warszawy.

AROGANCJA

Przyjrzyjmy się jej sklepom, lokalom publicznym. Urządzenie wystaw sklepowych w stołecznej Warszawie, w zestawieniu z witrynami pierwszego lepszego, większego miasta zachodnio-europejskiego jest wręcz kompromitujące.

Jednakże jeszcze gorzej przedstawia się sprawa obsłużenia klijenta, który w sklepach warszawskich traktowany jest tak, jak prawdopodobnie dzisiaj w Rzymie traktowanoby Abisyńczyka.

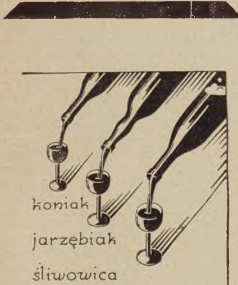
Gość, który ośmieli się przyjść do restauracji, usiąść przy stoliku i „nie zrobić“ rachunku przynajmniej na 20 zł. jest — napastnikiem a nie gościem i kelner bez zmrużenia powiek decyduje się na wszelkie wobec niego możliwe szykany...

„NOCNE ŻYCIE STOLICY“

Cudzoziemiec, który pragnąłby wzorem zachodu Europy, poznać nocne życie Warszawy, spotka się z pełnem rozczarowaniem. W paru ciasnych, kiepsko wentylowanych lokalach siedzą przedziwnie ponure dziewczyny, które zaczynają uśmiechać się dopiero od... butelki szampana. Pijani „na trupa“ goście rozrzewniają się słuchając — cygańskich romansów wygrywanych z przedziwnym uporem przez oryginalne rosyjskie orkiestry.

Dodajmy do tego katastrofalny brak samochodów i watahy egzotycznych dorożek czy nielicznie przemykające się szare i brudne taksówki, a oto — spragniony wielkomiejskich uroków Czytelniku będziesz miał pełny obraz stołecznej Warszawy, jakże bardzo niepodobnej do... najbardziej mikroskopijnego Paryża.

Tom.



Nalewkowski Stawiski

i dzień jego upadku...

Głośnem echem w świecie handlowym odbiła się wielka afera Natana Sałowejczyka, właściciela firmy „N. Sałowejczyk.“

Na skutek polecenia prokuratora Sałowejczyka aresztowano. Okoliczności, które towarzyszyły tej sprawie i podłoże tej **warszawskiej „stawiskjady“** nie przestają budzić zainteresowania, a każdy dzień przynosi nowe szczegóły.

KARJERA POLSKIEGO STAWISKIEGO

Karjera Natana Sałowejczyka datuje się jeszcze z czasów przedwojennych. Podówczas niezamożny urzędnik, zaczął zajmować się operacjami giełdowemi. W przededniu wojny Sałowejczyk jest już człowiekiem bogatym. Prowadzi on nielegalny **potajemny bank na Nalewkach,** robi wielkie obroty. Po wybuchu wojny Sałowejczyk wyjeżdża z Warszawy do Rosji. Osiada w Moskwie.

Ten okres działalności Sałowejczyka pozostaje na zawsze okrytym tajemnicą. Dość, że po kilku latach powraca do kraju z majątkiem obliczanym na dwa miljony dolarów.

P. GRZEGORZ GAJŁO

Poza miljonami dolarów przywozi ze sobą Sałowejczyk niejakiego Grzegorza Gajłę, rosyjskiego żyda, któremu pono, wdzięczny jest dług życia.

Gajło w nieznanych bliżej okolicznościach uratował Sałowejczyka przed śmiercią. Odtąd Gajło staje się w Warszawie prawą ręką kombinatora.

Sałowejczyk zakłada wielkie przedsiębiorstwo z siedzibą, przy ul. Nalewki 29. Oficjalnie Sałowejczyk jest przedstawicielem wielkich zagranicznych firm muzycznych, a przedewszystkiem **fabryk płyt „Columbia“ i „His Masters Woice“.**

MUZYCZNY SHYLOCK

Nieoficjalnie jednak firma rzuca się w wir operacyj finansowych, Sałowejczyk wchodzi w kontakt z szeregiem banków, gdzie uzyskuje krociowe kredyty. Sałowejczyk uzyskane na bankowy procent kredyty zużytkowuje w kierunku lichwy prywatnej. Firma Sałowejczyka udziela pożyczek szeregom innych muzycznych przedsiębiorstwom.

Przed pewnym czasem interesy Sałowejczyka zaczynają się chwiać. Według krążących pogłosek przyczyną zachwiania się interesów była gra na baissę, czyli zniżkę złotego polskiego.

WILLA NA RIWIERZE

Sałowejczyk wówczas zaczyna już przygotowywać wielką aferę. Nabywa on na nazwisko podstawionej osoby wspaniałą willę na Riwjerze, przekazuje zagranicę wielkie sumy gotówki.

Przed dwoma miesiącami **firma Sałowejczyka zawiesza wypłaty!**

W wyniku zawieszenia wypłat banki, gdzie Sałowejczyk miał kredyt, zostają narażone na krociowe straty. **900.000 złotych ponosi strat bank Francusko-Polski,** z którym aferzysta współpracował od chwili jego powstania.

Na olbrzymie straty zostają narażone inne banki. A więc Powszechny Związek, Bank Łódzki Depozytowy, Bank Zachodni Wawelbergów.

FIKCYJNE WEKSLE

W jaki sposób dokonana została afera? Jak wszystkie wielkie afery, idealnie prosto. Sałowejczyk mianowicie oddawał do dyskonta bankom weksle klijentów. Jak okazało się, po zawieszeniu wypłat, to weksle... były fikcyjne.

Aferzysta dyskontował weksle z podpisami nie mającemi żadnej wartości.

Ten sposób nabierania wierzycieli był możliwy tylko dzięki bezgranicznemu zaufaniu, jakim cieszył się nalewkowki „Stawiski“. Banki zwracały bowiem uwagę tylko na żyro Sałowejczyka. Na jego podpis udzielano kredytu, kto był wystawcą, kto był poprzednim żyrantem, tem banki nie interesowały się.

Okazało się, że między innemi w pakiecie zdyskontowanych weksli przez Sałowejczyka znajdowały się liczne weksle podpisane przez właścicieli firm, które już dawno były zlikwidowane. Aferzysta niewątpliwie opłacał się tym fikcyjnym wystawcom.

„SZEROKA STOPA“

Na co wydawał Sałowejczyk olbrzymie sumy? Dyskonter muzycznej branży żył na niezwykle szeroką skalę. Opowiadano wprost legendy o jego życiu prywatnem **o jego licznych przyjaciółkach.**

Przed pewnym nocnym lokalem pod Warszawą co sobota stawała zwykła taksówka. Z taksówki tj wysiadał otyły pan — Natan Sałowejczyk w towarzystwie oczywiście, damskim.

MAGNAT W TĄKSÓWCE

Tak jak wiele innych przedstawicieli „najgrubszej finasjery“ warszawskiej — Sałowejczyk na eskapady prywatne używał taksówki, która była specjalnie do jego usług.

Szeroki tryb życia, niefortunne operacje finansowe, poderwały interesy dyskontra na olbrzymią skalę. Postanowił on gorączkowo ratować „resztki“, warte jeszcze wiele kroci zawiesił wypłaty.

DZIEŃ JEGO UPADKU

Sensacyjnym momentem w tej sprawie jest jeszcze ta okoliczność, że Sałowejczyk został aresztowany w tymże dniu, kiedy wydział handlowy na posiedzeniu niejawnem uwzględnił podanie jego pełnomocników, udzielając odroczenia wypłat i mianując nadzorcę sądowego. Również aresztowany został prokurent Sałoczejczyka — Gajło.

Łowcy dusz

Fakir szuka klijenta

Wedle małego rocznika statystycznego na rok 1935 na terenie całej Rzeczypospolitej w roku 1935 było 10,644 lekarzy, oraz 3,157 lekarzy-dentystów plus parotysięczna rzesza akuszerek, techników dentystycznych i felczerek śmiało sięgających po ciężki i odpowiedzialny zawód lekarski.

CZCICIELE CZARNEGO KOGUTA

Rocznik ten jednakże, podając dokładne cyfry z podziałem na stolicę i ważniejsze ośrodki Rzeczypospolitej, ani słowem nie wspomina o gęstej sieci najróżniejszych znachorów, psychoanalityków, psychografów, zwykłych owczarzy i niezwykłych wróżbiarzy, którzy aczkolwiek oficjalnie co najwyżej udzielają „wskazówek o przyszłości“, to przecież w rzeczywistości bynajmniej nie odżegnywują się od parodji praktyk lekarskich, chętnie ofiarowując naiwnym bliźnim czy to cudowne zioła, czy niemniej cudowne recepty w których poważną rolę odgrywa...**krew czarnego koguta zarżniętego o północy na skrzyżowaniu dróg!**

RAJ ZA... 3 ZŁ.

Według bardzo powierzchownych (innych niesposób uskutecznić) obliczeń czynników kompetentnych w samej Warszawie kryje się takich „dobroczyńców ludzkości“ około 600... Cyfra pokaźna, jeżeli się zważy, że wszyscy oni reklamują się na prawo i lewo dręcząc biednego śmiertelnika nerwami przyszłości, którę „można odgadnąć, jeśli... wpłaci się 3 czy 5 czy 10 zł.“

Ale oprócz rodzimych kombinatorów, z pośród których wielu utrzymuje się, trzeba im przyznać, sprytnie zorganizowane biuro reklamowo-propagandowe, dysponujące tysiącami złotych, na rynek polski coraz zuchwalej wdzierają się „dobroczyńcy“ obcego stempla.

Wzajemna wymiana towarów, czy nawet wartości artystycznych, lub bezpośrednia chęć poznania napotyka na tysiące przeszkód w postaci przepisów celnych, wizowych, paszportowych, etc.

BEZ PRZESZKÓD...

Fakirzy, czarnoksiężnicy i „psycholodzy“ zagranicznego pochodzenia gwiżdżą na te przeszkody. Oto w najróżniejszych, pocztowych gazetach polskich zaczynają się nagle pojawiać szumne, a jednocześnie mgłą tajemniczości owiane ogłoszenia. Zwykle wielkie, rzucające się w oczy i proponujące **cuda za... 1 zł.** przesłany w znaczkach pocztowych!

Przy największym sceptyźmie na terenie Rzeczypospolitej znalazło się niewątpliwie parę tysięcy osób, które poszły na lep jakiegoś Fakira Mirma na, czy czeskiego „wydawcy“ i wyłącznego „reprezentanta psychologicznego instytutu profesora Dumonta“.

List napisano, załączono wszelkie potrzebne dane, niewyłączając próbki charakteru pisma, no i żądaną kwotę w znaczkach pocztowych. Teraz zaczyna się wyczekiwanie. Trzeba przyznać, że niedługie. Zagraniczni „magowie“ mają widocznie znakomicie zorganizowaną administracię.

FAKIR MIRMAN PISZE!

Więc przychodzi list z Paryża. Od fakira Mirmana, który aczkolwiek w ogłoszeniach podawał adres warszawskiej skrzynki pocztowej, to przecież okazuje się, że zamieszkuje w Paryżu i przysyła ci plik najróżniejszych prospektów, odbitą na powielaczu „analizę“ charakteru pisma, no i prowizoryczny horoskop w którym znajdujemy m. in. taki fragment: **„Horoskop, który Panu proponuję jest ułożony według rytuału mędrców dawnej Indji, których przedstawicielem jestem w Europie. Da on panu co kwartał dokładne wskazówki, podyktuje Jemu, czyich rad ma Pan słuchać kogo unikać, kiedy i co czynić. Moje obliczenie zakończone, pozostaje mi tylko wytłumaczenie. Ten horoskop zawierający kilka stron drukowanych, mogę przesłać Panu za skromną opłatą 7 zł. 50 gr. Wręczę Jemu również talizman szczęścia ustalony według wpływów planetarnych, aby wskazać Panu, Jego właściwą drogę w życiu“.**

Innemi słowy naiwny Polak wpłaca sprytnemu „fakirowi“ co kwartał 7.50 zł. na konto otwarte w polskiej P. K. O. otrzymując wzamian idjotyczne i bezczelne brechty plus również idjotyczny „talizman.“

OSOBISTY MAGNETYZMUS

Trzeba przyznać, że wszystkie prospekty i okólniki paryskiego „fakira“ zredagowane są w naogół dobrej polszczyźnie. Czego znów niemożna powiedzieć o naszym probatymczym, praskim „wydawcy“.

Wydawca ten przysyła pokaźny plik różnych papierów, między któremi znajduje się również beznadziejnie głupia, skandalicznym językiem napisane, ni to polska ni czeska broszura p. t. **„Jak przebudzę i rozwinę swoje okkultnie schopnośćie?“** sub tytuł brzmi: **„Brama uśpiechu“**, a dalej: **„Klucz do otwierania tajemnych schopności i siły podświadomości. Zupełny popis systemu nauk psychicznych prof. Dra Therona Dumonta. Osobisty Magnetyzmus a jego praktyczny uzdrawiający cel.“**

KRYSZTAŁ RADJO-HYPNOTYCZNY

Czeski wydawca wypisując różne brednie, proponuje w imieniu mitycznego „profesora“ dzieło p. t. „System osobistego magnetyzmu i praktycznego używania okkultystycznych nauk“ tylko za 295 zł. Tyle przynajmniej żądał wydział handlowy instytutu „profesora“, ale czeski „wydawca“ kocha Polaków i tylko dzięki jego interwencji można uzyskać całe, składający się z sześciu części „System“ za 72 zł. „Wydawca“ rozumie, że 72 zł. to też dużo, więc pisze: „Jeśli jest Wam niemożliwe posłać do dziesięciu dni Zł. 72, to proszę posłać **zł. 12 zadatku, a ja będę dla Was zatrzymam Dumonta „System nauk psychicznych“ za obniżoną cenę tak długo, aż będzie Wam możliwe posłać pozostałych zł. 60 po otrzymaniu których, prześlę Wam „System“ bez jakiejkolwiek dopłaty“**

Podobnie, jak jego kolega z Paryża, praski „wydawca“ dołącza do „Systemu“ tajemniczy Radjo-Hypnotyczny Kryształ, prawdopodobnie dlatego aby ci naiwni, którzy przekażą mu pieniądze mogli długo i wytrwale w kryształ ten wpatrywać się szukając odbicie swej mocno naiwnej fizjognomji.

Miky.

Czyżby naprawdę...?

... mimo przewidzianej dla nadzorców sądowych maksymalnej gaży 3,000 zł. jeden z adwokatów warszawskich otrzymał nadzór z gażą — 5,000 zł., ponieważ znając obce języki towarzyszył wysokiemu dostojnikowi, (który języków nie zna) w jego podróży zagranicę?

✶

... jedna z firm zagranicznych, zajmująca się w Polsce oficjalnie sprzedażą wirówek, posiada sztab akwizytorów niezbyt świetnie zorjentowanych w arkanach sprzedaży tego pożytecznego instrumentu, a natomiast znakomicie orjentujących się w terenie rejonów, powierzonych im do akcji „sprzedażowej“?

✶

... „pamiętniki“ p. Chencinerówny-Hartglasowej, żony głośnego aferzysty, którego proces niedawno odbył się w Warszawie, drukowane w jednym z dzienników stołecznych, wychodziły z pod pióra również bohatera głośnej afery, syna znakomitego prawnika polskiego?

✶

... znana i znakomita pieśniarka, żona arystokraty z Wileńszczyzny, rozeszła się z „hrabią - małżonkiem“ i wyszła zamąż powtórnie, za... swego uroczego partnera ze sceny? Tak przynajmniej wynika z podania złożonego przez artystyczną parę w konsulacie amerykańskim w sprawie wiz i zezwolenia na występy w Stanach Zjednoczonych.

✶

...prokurator sporządzający akt oskarżenia w sprawie sprzeniewierzeń popełnionych przez intendenta b. teatrów miejskich, zdecydował pociągnąć również do odpowiedzialności wszystkich tych, którzy intendentowi temu, wzamian za wyświadczane grzeczności, płacili mniejsze lub większe kwoty pieniężne?

... znakomita artystka sceny polskiej, dwukrotnie zamężna i dwukrotnie rozwiedziona, postanowiła wyjść zamąż po raz trzeci, za równie znakomitego artystę dramatycznego, który jednakże od dłuższego czasu nie był zbyt czuły na wdzięki kobiece?

✶

...właściciel kilku kin warszawskich, „przemysłowiec“ filmowy dostał się, pod nadzur policyjny w związku ze skargą złożoną u prokuratora przez pewną damę, którą wspomniany przemysłowiec miał szantażować i rujnować materjalnie, fałszując jej podpisy?

✶

...w wielkich zakładach przemysłowych na Woli wykańcza się obecnie wagon salonowy, który kosztować będzie ponad... 1 miljon złotych?

✶

... dwu reżyserów filmowych toczy zaciekłą walkę między sobą o... młodego asystenta reżyserskiego, kiepskiego zresztą aktorzynę, nietyle spowodu jego talentu, artystycznego, ile — specjalnych zapałów miłosnych?

✶

... znanemu reżyserowi TKKT, byłemu spólnikowi Jaracza, powierzono przerobienie na scenę „Braci Karamazowych“, Dostojewskiego. Kiedy po 2 miesiącach pracy reżyser uporał się stem zadaniem, bezmała 3 tygodnie trwał wybór obsady i wreszcie zdecydowano, że sztuka, która miała iść w Teatrze Polski, wogóle niepójdzie?

✶

...jeden z notarjuszy zawdzięcza swą karjerę ...bridżowi? Będąc we dworze sąsiada stał się w bridżu partnerem wysokiego dygnitarza. Gra przeciągała się, a ponieważ nasz bohater następnego dnia musiał wcześnie wstać, postanowił przerwać grę. Niemając czwartego, partnerzy namawiali go gorąco aby pozostał, specjalnie usilnie nalegał wspomniany dygnitarz, któremu niesforny bridżysta żartem powiedział:

— Zostanę, jak mnie pan zrobi rejentem...

Dygnitarz przyrzekł i... słowa dotrzymał.

Łączka kretynów

Poczytny dziennik warszawski „Express Poranny“ z dn. 13 stycznia r. b. przynosi „recenzję“ z balu mody, o którym obszerniej piszemy na innem miejscu. Anonimowy sprawozdawca temi oto słowy zdaje relację z imprezy p. Iwanowskiego:

„Na tradycyjnym Balu Mody w hotelu Europejskim roiło się od pięknych pań przystrojonych w najnowsze „krzyki“ mody, przeważnie z całkowicie obnażonemi plecami...“

Już ten wstępik jest dostatecznym powodem do tego, aby autorowi również ...obnażyć placy j... resztę, a potem — dyscyplina zdałaby się niewątpliwie, bo cóż ptaszyna pisze dalej:

„...Lidję Wysocką, nową gwiazdę na firmamencie filmu i sceny...“

Panna Wysocka jest niewątpliwie uroczem stworzeniem i wszystko wskazuje na to, że kiedyś będzie „gwiazdą“. Narazie na scenie nie widzieliśmy jej wcale, a w filmie „Kochaj tylko mnie“ z powodzeniem moglibyśmy jej również nie widzieć.

Ale sprawozdawca nie żałuje superlatyw. Bo oto dalej tak pisze o innej uczestniczce balu mody:

„...p. Liljana Krystówna, najnowsza rewelacja kunsztu aktorskiego...“

Jakże mizernie wyglądają przy p. Krystównie, której, dalibóg również na scenie dotychczas nie oglądaliśmy, takie „miernoty kunsztu aktorskiego“, jak np. Modzelewska, Ćwiklińska, Dulęba, Zimińska.

„Styl“ tego steku kretynizmów zdradza autora, pp. Wysocka i Krystówna dobrzeby zrobiły bijąc go długo i wytrwale, bo ośmieszył je z właściwym sobie talentem...

P. FETKE JEDZIE

Dziwnie się dzieje na świecie. Czy widz kinowy, oglądający w kino - teatrze film polski o mętnym i bzdurnym scenarjuszu, mógłby przypuszczać, że sprawa ta związana jest z projektem scenarzysty wyruszenia w podróż naokoło świata? A jednak tak jest.

Zaraz wyjaśnimy sprawę gruntownie. Przez długie lata siedział w Berlinie pisarz, dziennikarz i scenarzysta filmowy polski: Jan Fethke. Z niewiadomych powodów p. Fethke, który teraz już pisze się Fetke, przyjechał do Warszawy i osiadł na dłuższy czas.

Nasi producenci filmowi skorzystali oczywiście skwapliwie z okazji, aby prace swoje powierzyć człowiekowi, który mógł się wykazać szeregiem poważnych sukcesów w kinematografji niemieckiej.

Tymczasem okazało się, że płody berlińskiego specjalisty nie są wcale lepsze od rodzimych. Bo też p. Fetke, który uchodzić pragnie za artystę o poetycznej duszy, stał się poprostu wyrobnikiem. Zabrał się nawet do „Strasznego Dworu“ i do.. „Trędowatej“.

Jak dowiadujemy się z poufnego, a dobrze poinformowanego źródła, p. Fetke kpi sobie w duszy z naiwnych producentów i sprzedaje im tuzinkowe roboty, ponieważ zbiera pieniądze na podróż dookoła świata!

Bardzo to piękny plan, panie Fetke, i chętnie wybralibyśmy się razem z panem, ale czyż z tego powodu mamy oglądać kiepskie filmy? Za podróż pańską płacić będą dziesiątki tysięcy widzów!!

Nafta, kukurydza, winogrona

Z okien rumuńskiego wagonu

I.

Kiedy szary zjadacz chleba ma okazję delektować się takiemi smakołykami sensacji, jak np. wojna z Abisynją, zatarg italsko - brytyjski czy wrzenie w Egipcie, pozornie kęskiem bez znaczenia wydają się dlań... reportaże z Rumunji.

Piszę „pozornie“, bo czytelnik wiedząc o Rumunji, że sąsiedzka, że sojuszniczka, że tanie wino i eleganccy oficerowie, w gruncie rzeczy nic pozatem nie wie.

A Rumunja dzisiejsza, ze swym, w chwili obecnej „przełomowym“ stosunkiem **do sojuszniczej Polski,** bezwątpienia zasługuje na to aby ją poznać chociażby z reporterskich obserwacyj.

Szlak kolejowy Czerniowce - Bukareszt z prawej strony prezentuje sine wyżyny Karpat, z lewej monotonne łany kukurydzy.

Od czasu do czasu, jak wielki wykrzyknik — wieża wiertnicza. Nafta...

Najwięcej jednakże kukurydzy.

— Dla nas jest kukurydza wszystkiem, — mówi mi sąsiad przy stole wagonu restauracyjnego, bardzo reprezentacyjny Rumun. — Kukurydzę jedzą ludzie, kukurydzę dostaje bydło, łodygi kukurydzy z gliną, to znakomity materjał budowlany, a takie przemyślne ściany okrywa się kukurydzianą strzechą...

I palcem pokazuje w tył biegnące budynki jakiejś wioski. Lepianki, słońcem sprażone na kolor ziemi gościńców. Zwykle okryte strzechą, rzadko dachówką, a im dalej od polskiej granicy, tem rzadziej blachą cynkową.

Z międzynarodowego wagonu restauracyjnego wędruje po przez wszystkie inne. Duże, wygodne pullmany (produkcja O. M. Milano), brudne i niezbyt wonne w przedziałach trzeciej klasy, bardzo przyzwoite we wszystkich innych. Pełno pasażerów, gadatliwych i dość kolorowych.

Na stacjach bronzowe mundury policjantów, obwieszonych złocistemi sznurami, a obok białe, krajką przepasane koszule miejscowych wieśniaków, którzy, niby Abisyńczycy, no i nasi wieśniacy, drepcą boso od wagonu do wagonu, oferując winogrona czy arbuzy za grosze...

O ile personel stacyjny wygląda dość biednie, o tyle służba naszego pociągu, a jest to wszakże zwykły express, skutecznie konkuruje z elegancją oficerów rumuńskich. Granatowe mundury, wiśniowe patki, złotem szyte, angielskiego kroju czapki, jakieś niezliczone gwiazdki na rękawach. Całość paradna i onieśmielająca.

Więc odwracam się, przylepiając nos do szerokiej tafli okna.

Mijamy właśnie jakąś stacyjkę. Jest nadwieczerze. Ulicą obok stacyjki posuwa się wolno tabun koni, widzę że są jednakowo znakowane. Konie wojskowe. Za niemi — żołnierz rumuński. Poznaję go po rogatej furażerce i pasie przewieszonym przez ramię. To jest zresztą, łącznie ze spodniami cały strój jego. Tors nagi, bose nogi. W jednej dłoni dzierży gałąź, poganiając nią tabun, w drugiej — niby chorągiewką sygnałową powiewa mundurową kurtką...

Coprawda jest gorąco!

Ale takich żołnierzy odrapańców spotykam znacznie więcej. Na którejś stacji żołnierz w pasie i mundurowej czapce z cyframi pułku, szwenda się po wagonach **sprzedając... zimną wodę** i przy okazji wyłudzając papierosy.

Rumuński towarzysz podróży tłumaczy mi oględnie:

— Może zadużo mamy wojska. Przecież to kosztuje. Zresztą, tak jest tylko na prowincji, zobaczy pan w Bukareszcie...

Zobaczę. Narazie nasuwają mi się trzy najbardziej jaskrawe, krzyczące uwagi:

1-o, niekończące się pola kukurydzy.

2-o, olbrzymia większość glinianych budowli,

3-o, bardzo obdarci żołnierze.

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI.

D. c. n.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr --- Rewja --- Kino

„Fryderyk Wielki“ (Narodowy). — Tęgie przedstawienie z mistrzowską kreacją Solskiego. Inni aktorzy robią co mogą, a że zespół jest naogół wyjątkowo, jak na TKKT, starannie dobrany, więc mogą wiele... Miła Świerczewska. Warto ten spektakl zobaczyć rujnując się nawet na podwyższone cichcem ceny biletów w pierwszych rzędach.

—oOo—

„Star wino“ (Polski). — Mając do wyboru pełny bilet na „Barona Cygańskiego“ lub kupno ulgowego na „Stare wino“, wybierz to drugie. Stanowczo warto, chociażby tylko dla Modzelewskiej, Wysockiej i Stępowskiego. Bardzo ładniutka Kajzerówna. Kupno pełnego biletu niewskazane.

—oOo—

„Trójka hultajska“ (Ateneum). — Zabawna groteska dla alkoholików. Dużo dowcipnych, hemarowskich powiedzeń, dużo dobrych rad dla pijaków, świetny Jaracz, nadspodziewanie dobrzy: Sielański, Bonacka, Daniłowicz, Owidzka popycha do homoseksualizmu. Kapitalne dekoracje Daszewskiego. Całość warta taksówki na Powiśle, pełnego biletu, a po przedstawiniu... ugaszenia pragnienia.

—oOo—

„Był sobie więzień“ (Nowy) — Bzdura o bankierze, który za jakąś tajemniczą zbrodnię bardzo długo siedział w ciemnym lochu. Gdyby nie Maszyński, Chmielewski i Znicz — nuda. Ćwiklińska nieprawdziwa. Bukojemska niepotrzebna. Można przyjąć od znajomego kontrolera kartkę z dopłatą 1 zł. Więcej niewarto.

—oOo—

„Codziennie o 5-ej“ (Letni) — powinno bić się tego, kto namówi na ten „rewelacyjny spektakl Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. Lepiej pójść do Cyrku.

—oOo—

„Sąsiadka“ (Kameralny). — Widzieliśmy, chociaż można było niewidzieć. „Matury“ z Andrzejewską niewidzieliśmy, chociaż podobno warto zobaczyć.

—oOo—

„Był sobi żołnierz“ (Mały). — Kupcie bilety w kasie, bez zniżek. Mądra sztuka, b. dobra gra całego zespołu. Gorczyńska śliczna.

—oOo—

„Trafika pani generałowej“ (Malickiej). — Zabawna sztuczka. Można jej nie oglądać. ale jeśli jeden z partnerów do bridża gra, jak noga, to lepiej pójść na Karową. Wskazana oszczędność przy kupnie biletów.

—oOo—

„Baron Cygański“ (Opera). — Pierwszy i trzeci akt można przesiedzieć w Oazie albo u Langnera. W drugim — ładnie tańczą niebrzydkie dziewczyny. Dwu lub trzy-złotowy wydatek na bilet dopuszczalny, chociaż wieczór spędzony na dobrym filmie będzie bezporównania lepszy.

—oOo—

„Widowisko Nr. 1“ (Wielka Rewja). — A nuż będzie „widowisko nr. 2“, wtedy emigracja z Warszawy konieczna. Ordonka i Sym — właściwi ludzie na niewłaściwych miejscach. Fertner to komik z epoki Gawalewicza, Ankwiczówna jest zbyt ładna aby marnowała się bezpożytecznie w teatrze. Kartka za 60 gr. to maksimum.

—oOo—

„Wieczna ondulacja“ (Cyrulik Warszawski). — Słabszy, ale przecież jeszcze jeden dobry program. Czarująca Zimińska, Żelichowskiej mało, ale b. dobra. Tosamo z Andrzejewską. Jarossy brawo! Wstyd mówić o kartkach czy ulgowych biletach.

pop.

„Peter Ibbetson“ (kino „Światowid). Film tylko dla inteligentnych i subtelnych. Idealna miłość dwojga kochanków, owiana romantycznym duchem mistycyzmu, pozbawiona wszelkich akcentów erotycznych. Kto lubi bujdy lub pornografję, niechaj do „Światowida“ nie idzie; będzie gorzko rozczarowany.

Jedyny zarzut, jaki temu filmowi można postawić: Gary Cooper nie zupełnie odpowiada typowi bohatera powieści George'a du Maurier, ale liczne jego wielbicielki wybaczą mu to...

—oOo—

Nasze słoneczko“ (kino „Atlantic“). Na ten film mogą kinomani śmiało nie chodzić, a to z dwóch powodów: jeśli są zwolennikami małej Shirley Temple, rozczarują się, ponieważ aktoreczka jest w tym obrazie wyjątkowo słaba, a sam film jest ckliwy i nudny; jeśli natomiast ktoś nie zna jeszcze małej Shirley, lepiej, aby ją poznał w lepszem dziele.

—oOo—

„Marja Baszkireew“ (kino „Apollo“). Film doskonale zrobiony ilustruje miłość, a raczej flirt słynnego francuskiego pisarza. Guy de Maupassant z uroczą rosyjską studentką Marją Baszkircew. Tempo doskonałe, zdjęcia pierwszorzędne. Radzimy tylko... przespać epizod, nakręcony z polską „aktorką“ Marją Balcerkiewiczówną. Jest niepotrzebny, głupi i irytujący. Reszta bez zarzutu.

—oOo—

„Całe miasto mówi o tem“ (kino „Majestic“). Całe miasto mówi o tem, że film ten jest wprost świetny i całe miasto ma rację. Obraz ten powinien każdy obejrzeć, nawet jeśli musi zapłacić pełną cenę za bilet. Sytuacje dramatyczne, sceny komiczne, tempo, humor, satyra, wszystko jest w tym filmie umiejętnie dozowane i przeplatane. Kto chce miło i beztrosko spędzić dwie godziny, niechaj pobiegnie w te pędy do „Majestic'u“. Uwaga: reklama bezpłatna!

—oOo—

„Manewry Miłosne“ (kino „Pan“). Najlepsza z dotychczasowych komedyj polskiej produkcji. Zalety: dobra reżyserja, dobre tempo, świetna gra Zimińskiej i Sielańskiego, dobra gra Żabczyńskiego, śliczne plenery, dobra muzyka. Wady: nieliczne usterki techniczne oraz Mankiewiczówna, Halama i Sempoliński. Scenarjusz nie nowy, ale dobrze opracowany.

—oOo—

„W walce z caratem“ (kino „Filharmonja“). Film jedynie dla komunistów i ludzi o nieczystem sumieniu: na ekranie biją policję, a na sali — brawo.

—oOo—

„Będziesz tylko moją“ (kino „Rialto“). Film ściśle muzyczno - operowy, ale w najlepszym stylu. Cudowny śpiew Grace Moore i Michaela Bartletta oraz doskonała gra Leo Carrillo. Dużo śpiewu i zabawnych epizodów. Film naogół bardzo miły. Warto kupić bilet ulgowy. Miłośnik śpiewu może nawet zaryzykować cały bilet.

—oOo—

„Melodja wielkiego miasta“ (kino „Baltyk“). Wspaniała rewja, doskonałe tańce, ale całość blada. Komu nie znudziły się jeszcze „tupanki“ i hałaśliwy jazz, może pójść. Innym radzimy abstynencję.

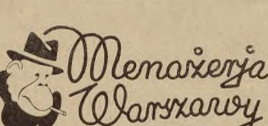
—oOo—

„Burza nad światem“ (kino „Casino“). Niezwykle interesujący przegląd minionych wydarzeń. Defilują przed nami wszystkie postaci Wielkiej Wojny. Radzimy tylko zatkać uszy przy części, poświęconej Polsce. Niezwykły wyczyn akustyczny niejakiego pana Macieja Halperna jest wprost przerażający. Dotychczas p. Halpern psuł tylko napisy w filmach, teraz już psuje dźwiękowość również!

—oOo—

„Jaśnie pan szofer“ (kino „Capitol“). Jeśli wśród powyższych filmów nie było żadnego, któryby Ci odpowiadał, Szanowny Czytelniku, możesz się wybrać na „Jaśnie pana szofera“, bo jest naprawdę niezły, pomimo fatalnych zdjęć. Ale jeśli Ci ktoś wmówi, że scenarjusz i djalogi są pióra Konrada Toma, nie wierz!! Scenarjusz jest niemiecki. Napisał go Hans Zerlett, a Tom adaptował go tylko i... to dość niezręcznie.

X. 27.



Zewnętrznie prezentuje się nieciekawie. Jest cherlawy i pozuje się na nieboszczyka Johna Gilberta. Żyje z kart, kantów i pieniędzy zdolnego brata. W dzień śpi, wieczorem wychodzi „na łów“. Chętnie posługuje się tytułem doktora, prawdziwych doktorów, którym niepłaci za mieszkanie doprowadza do białej gorączki. Szwenda się po lokalach, plotkuje i szuka „jeńców“.

Trzeba go zaliczyć do kategorji pluskiew.

✶

Jest gładki i lukrecjowo słodki Barjerkę w izbie skarbowej zamienił na prawem kaduka używany tytuł „redaktora“. Grasuje w teatrze i filmie, skąd wyłapuje sobie naiwne dziewczyny za... fotografję w jakimś piśmku i obietnicę zbudowania karjery gwiazdy. Aksamitnie chytry, kopie dołki pod kim może. W krytycznych dla siebie momentach, zasłania się przyjaźnią. Fałszywe nazwisko, fałszywy tytuł. Na klatce jego w stołecznej menażerji zawiesimy tabliczkę: „śmierdziel pospolity“.

✶

Mały krótkowidz o aroganckim wyrazie twarzy. Dla prestiżu dziennikarskiego robi nudne wywiady z nudnymi dyplomatami, dla własnego użytku wyspecjalizował się w... balecie. Pisze bradnie zarówno o tancerkach, które chcą z nim chodzić na kolację, jak i o tych, które się zeń śmieją. Jest niewątpliwie szkodliwy, bo parę osób traktuje go, niestety, serjo. Należy do grupy t. zw. rezusów.

A POTEM DO „ADRJI”

Cafe Dancing „Adria” niepodzielnie dzierży prym największego i najwspanialszego lokalu reprezentacyjnego stolicy. Pod tym względem zyskała sobie „Adria” rozgłos nie tylko w Warszawie i w całym kraju, ale i zagranicą. Turyści zagraniczni, bawiąc w Warszawie, w pierwszym rzędzie odwiedzają zakrojony na europejską skalę lokal dancingowy „Cafe Dancing Adria” to miejsce beztroskiej a jednocześnie na wysokim poziomie stojącej rozrywki — na wewnątrz zaś jest to wielkie przedsiębiorstwo, zatrudniające setki ludzi. W lokalu tym pracuje około 70-ciu kelnerów, kilkadziesiąt osób służby i personelu biurowego. W każdym programie występuje kilkudziesięciu artystów i artystek.

W „Cafe Dancing Adria” jednocześnie grają cztery orkiestry, zatrudniające zgórą 30 osób.

Kilka dni w tygodniu ofiaruje lokal na rzecz instytucyj społecznych i dobroczynnych, które na swoją rzecz pobierają opłaty wstępu, w ciągu kilkuletniego istnienia „Adrji”, instytucje te zebrały łącznie zawrotną, jak na nasze stosunki kwotę, około miljona złotych.

Każdy rok istnienia „Adrji” to dalszy krok na drodze do postępu i udoskonalenia.

Dyrekcja lokalu, która spoczywa w rękach niestrudzonego Franciszka Moszkowicza, nie szczędzi pod tym względem pracy i wysiłków.

Ogół doskonale docenia ten wysiłek, czego dowodem choćby, że najbardziej reprezentacyjne imprezy urządzane są w lokalu „Cafe Dancing Adria”. Dorocznym zwyczajem, dnia 1-go lutego r. b. odbędzie się m. in. w „Adrji” najwspanialszy bal sezonu „Wieczór Prasy”.

Program lutowy jest jednym z najbardziej urozmaiconych i atrakcyjnych.

Na czoło programu wysuwa się fenomenalna trójka Londos, która wykonuje na trampolinie oszamiałające popisy. Znakomity polski treser Artur Gobski występuje ze swemi psami. Premjowana piękność hiszpańska Gira występuje w swoim repertuarze piosenek hiszpańskich.

Kent i Maxya to jeden z najznakomitszych duetów murzyńskich śpiewno-tanecznych.

Jeżeli do tego dodamy występy polskiej refrenistki Niny Kwiatkowskiej, murzyńskiego śpiewaka Watkinsa i baletu Wysockiej, — otrzymamy obraz prawdziwie przebojowej rewji karnawałowego programu.

Piszcie do nas!

Dobre wiadomości sprawdzamy, drukujemy, płacimy!

Złe — wyrzucamy do koszą

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 szpalty, zwyczajne 30 gr., w tekście 1.20 gr., nadesłane 1 zł., komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-65 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 14-ej.
Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor odp. i wydawca: JAN KRUKOWSKI

Drukarnia „NIWA” — Warszawa, ul. Złota 16